KOLEŻANKA STEFA

CECYLIA WALEWSKA

KOLEŻANKA STEFA

NOWELLE—OBRAZY

WARSZAWA

DRUK I NAKŁAD TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI E. WENDE I SPÓŁKA
(T. HIŻ I A. TURKUŁ)

[1913]

KOLEŻANKA STEFA.

Ignacemu Orskiemu na pamiątkę współpracy.

Wyjście za mąż było najzupełniej wykluczone z programu jej życia. Miała dwie ładne siostry: Metę i Alę. Sama od dziecka nie zapowiadała się dobrze: nos za duży, czoło za wysokie, brwi blado zarysowane.

Matka patrzyła na nią ze strachem: „jak ona wyrośnie?...“ Ciotki pocieszały:

— Nieraz z najbrzydszych podlotków robią się interesujące panny...

Jedna z nich tylko, zawiedziona w nadziejach, stara, zgryźliwa astmatyczka, kiwała głową i powtarzała:

— Nos jej nie zmaleje... brwi nie porosną... czoło się nie skurczy...

Na dziesięć takich rozmów dziewięć conajmniej dochodziło do niej, napełniając ją dziwnie tępym, przykrym bólem i wlewając odrazę do samej siebie. Nie miała odwagi spojrzeć

w lustro, chowała się po kątach, żeby nie budzić sobą wstrętu.

Siostry jej wchodziły w świat, pełne szału życia. Codzień coś nowego: dziś—bukiet anonimowy, nazajutrz wiersz modnego poety, wizyta lwa złotej młodzieży, nagroda za najpiękniejszy kostyum balowy.

Jak motyle, kołowało nad głową Stefy frufru salonów, budząc cierpką gorycz niezaspokojonej ciekawości.

Jak tam... w tym oceanie mody i zgiełku?..

Pierwszy wieczór publiczny, na który pojechała z matką i siostrami, skończył się zgrzytem.

Siedziała pod piecem i wtedy zrozumiała: musi żyć innem życiem; musi ukochać coś ponad wrażenia chwili; musi stanąć silnie i liczyć sama na siebie, gdyż nie będzie ramienia, któreby ją wsparło...

Na pensyi uchodziła za najtęższą głowę. Stefa Gintowtówna...

Jeżeli nie zawsze była prymuską, to dlatego, że z książek szkolnych wiała otchłań nudy.

Uczyć się, ale nie tego, co zadawano... Samej sobie tworzyć programy...

W czwartej klasie wyrwano jej z rąk Platona, którego pochłaniała na lekcyach francuskiego, niemieckiego i rysunków.

W piątej — łapała, co się dało: Nietsche, Emerson, Wundt, Draper, Buckle, Ribot...

Jedno rozumiała, drugie zostawiało po so-

bie luki, w które wpracowywała się refleksya. Całość, zarysowana głównemi konturami, budziła tęsknotę za syntezą myśli ludzkiej...

Powieści nie lubiła. Erotyka wywoływała w niej niesmak.

Czytując raz trylogię Przybyszewskiego, uczuła mdławe ciągoty i jakiś dreszcz dziwnie luby a niepokojący, jakieś przepalające nawskroś pragnienia, żar w całej sobie, prężenie ramion, piersi, drżenie warg, którego było jej wstyd.

Coś mroczyło myśli a przewalało się w skroniach błyskawicami nagłych drażniących objawień, od których wzdłuż krzyża szły iskry, wracając do krtani kulą dławiącą. Zrozumiała: to był krzyk uśpionych dotąd zmysłów.

Wstała natychmiast, otworzyła okno, zaczęła biegać po pokoju, a gdy to nie pomogło poszła na długi spacer.

Wróciła uspokojona, ale „Homo sapiens“ zniknął ze stołu: nie wzięła go do rąk już nigdy...

Zaczęła się gimnastykować, dużo chodziła, spała przy otwartem oknie, zabijała w sobie drażniące myśli wysiłkiem dziwnie sprężystej woli.

W siedemnastym roku już panowała nad sobą, jak człowiek dojrzały.

— To mogę... tego nie wolno mi...

Sama w sobie wypracowywała nakazy; sama zmagała głosy krwi, przyczajone zdradliwie i gotowe odzywać się za najlżejszą pobudką.

Stanęła na straży uczuć swoich i wrażeń.

— Dusza moja musi być czysta, jak kartka papieru, na której żaden poryw nie zaryje się samowolnym zygzakiem.

Unikała książek i rozmów drastycznych. Zerwała z kilkoma bardzo zdolnemi koleżankami, dla których sprawy erotyczne stały się osią zagadnień.

Nauka miała zastąpić jej wszystko. Głód myśli nacierał na nią przemożnie. Czytać, czytać dniami i nocami!.. Zabić w sobie każdą po za tem namiętność...

Przyczajała się z książką, gdzie mogła.

W pokoju służących było najciszej, więc tam... w kącie, za szafą... studyowała filozofów greckich.

Ale czytanie samo nie wystarczało. Do poważniejszej, systematyczniejszej pracy rwała się dusza.

. . . .

Siostra z matką wyjechały na letni turniej mody do Ostendy; ona — została z ojcem tylko.

Długie spacery we dwoje; długie wieczorne gawędy...

Stanęło wtedy: wstąpi na uniwersytet: cztery lata w Szwajcaryi, a potem — praca dla siebie.

Pierwszy raz powiedziała sobie:

— Jestem szczęśliwa!

Oczy jej nabrały blasku; usta zaróżowiły się, twarz wybielała.

— Co się z tobą stało, Stefa!... Ty, nie ty? Inna cera... Nawet nos zmalał... Jakbyś przeszła przez dziesięć „instituts de beauté"... Czyżby? Przyznaj się!... wołały siostry, wróciwszy „z zielonych karnawałów".

A w niej przetwarzała się dusza. Czuła: teraz dopiero zacznie żyć...

Przeszłość tępem echem biła w pierś jej, podaną jutru.

Ogarnął ją szał radosny, jak Metę i Alę, gdy pierwszy raz szły na bal...

. . . .

Wyjechała na uniwersytet.

Pierwszego roku nie odrywała się od książek, nie znała prawie nikogo, uciekała od kolegów i koleżanek.

W drugim wciągnięto ją do dwóch stowarzyszeń, namówiono na parę wspólnych wycieczek, zmuszono do wejścia w życie gromady!

Choroba „Mólika", Basi Górskiej, którą zaopiekowała się cała studenterya polska, — zbliżyła ją z kolegą, zwanym w bandzie „bury Ed", „buras", „Burski" od szaraczkowych garniturów, które stale nosił.

Wypadły im trzy razy w tygodniu wspólne dyżury nocne.

Z początku boczyli się, nie żądając nic jedno od drugiego. Czasami tylko krótkie:

— Kolego, pomóżcie mi przenieść Mólika na fotel, bo trzeba przesłać łóżko...

Albo z drugiej strony:

— Koleżanko, pozwólcie mi przespać się trochę: za to ja was nad ranem zastąpię...

To wszystko. Byli z sobą, ale nie widzieli siebie.

Aż raz kiedyś — było to piątej czy szóstej nocy czuwania, kiedy w chorobie nastąpił przełom, minęła gorączka i Mólik, zasnąwszy z wieczora, nie obudził się aż o świcie, — Edward, zaczytany w rogu pokoju przy ściemnionej lampie, rzucił nagle książkę i stanął przed Stefą.

— Powiedzcie mi, koleżanko, dlaczego wy taki sobek? Czemu unikacie nas wszystkich?... Czyście tacy hardzi, że was stary Gata — Yoga Müller wyróżnia ciągle na seminaryach? Zawróciliście mu do reszty kokos tym ostatnim referatem o Kancie. Po całej budzie lata i każdego za mankiet, że nawet sam Adickes tak nie zrozumiał, co transcendentalne a co transcendentne?... Bajkowe poprostu... Ciekawym też, jak wygląda zblizka taka jeneralska głowa?

I, usiadłszy wprost niej, wpatrzył się w nią, jakgdyby widział ją po raz pierwszy.

— Wiecie, jest w was coś, no, mówię wam, jak Boga kocham, co bierze człowieka za koł-

nierz. Żeby nie wstyd,—to—słowo daję—w rękę bym was pocałował...

— Dobrze, a tymczasem przykręćcie lampę, bo kopeć...

Przeszedł na drugi koniec pokoju, ale wrócił po chwili.

Znowu usiadł przed nią.

— Gadają o was: „brzydka"... No, może przydałby się nos trochę mniejszy, ale za to oczy... Wiecie, ten Gata Yoga wkiwnięty w was na amen... Mało mu ślepia na wierzch nie wyjdą do was...

— Miało być: do mojego Kanta...

— No, wszystko razem: wziął się na kokos a potem już samo poszło...

Chora otworzyła oczy i zażądała wody.

Podali ją oboje.

Gdy znowu zasnęła, a głęboki prawidłowy oddech zaświadczył, że śpi normalnie i widmo recydywy nie grozi, Stefa zwróciła się do Edwarda.

— Powiedzcie mi kolego, nad czem pracujecie teraz?

Okazało się, że tak samo, jak ona, nad Kantem, którego chcieli zgryźć oboje. Platona wystudyowali — on i ona — jak na umówionego, dwa lata temu jeszcze przed wstąpieniem do budy. Potem przyjdzie Schoppenhauer, po Schoppenhauerze filozofia współczesna z ciągłymi zawrotami do pośrednich lub bezpośrednich etapów

rozwoju prądów najnowszych i — mniej więcej synteza myśli ludzkiej, połknięta z grubsza w cztery lata.

— Żeby tylko nie stawało na przeszkodzie to przeklęte roztargnienie. Są dnie, kiedy litery, jak pajace, skaczą mi przed nosem... nic nie rozumiem.

— Mnie tak samo. Wiecie, koleżanko, a gdyby tak zaflancować jedno drugiemu kwiatuszek uwagi? — Możeby sprobować kuć razem?... Co, uśmiechacie się?... Dobra: znaczy zgoda. Więc zaraz od jutra. Wy do mnie, czy ja do was?

Miała rozstrzygnąć wielkość „ciupy". U niego doskonale jeszcze nawet nie jedno, ale dwa krzesła zmieścić by się mogły; u niej, wyrugowawszy w kąt fotel, przestawiwszy kanapkę (łóżka nie miała), wysunąwszy stół na środek, zestawiwszy na ziemię Primusa, też napewno dałoby się jakoś urządzić. Tylko—co na to „baba". Krzywi się na studentów... Trzeba ją poprosić o krzesło: może odmówić... No, zresztą jakoś to będzie...

Nazajutrz rano odbyły się oględziny. Stanęło, że po zupełnem wyzdrowieniu Mólika będą przychodzili raz on do niej, drugi raz — ona do niego: na zmianę...

— Tylko, żebyście nie starali się mnie wyforpocztować: żadnego kucia w domu. Słowo? Solidne? Jeneralskie?...

Podali sobie ręce; umowa stanęła.

Odtąd nazwano ich „Pawłem i Wirginią Burskimi". Nie rozłączali się w ciągu dnia: każda godzina razem...

— Wiecie, zdaje mi się, że znam was wieki; miałem was w sobie zawsze i nieraz myślę, dlaczego dziś dopiero stanęliście przedemną?... powiedział kiedyś bury Ed po skończonem kuciu, patrząc w jej szafirowe, słodkie, mądre oczy.

A ona:

— Ja nie. Wyście dla mnie nowy zupełnie człowiek i dlatego myślę, że niejedna niespodzianka spotka mię przez was... Zła czy dobra?— nie wiem... ale nie czuję się z wami solidnie... Tak, jakgdyby coś wisiało nademną, jakgdyby ktoś lada chwila miał mi was odebrać...

— Co wy też?... A cóż ja bym robił bez was?

Zromantyczniał przy Stefie. Wywietrzały mu z głowy: „kokosy" „samcze i bycze zachwyty": zaczął mówić prawidłowiej, stał się miększy w ruchach, w spojrzeniu; złagodniał mu nawet głos.

— Ogładzacie tego krakowskiego hamana, koleżanko Stefo! Dobra. Tylko wsypcie mu trochę ołowiu w lewy zraz mózgowy, bo zanadto— po galicyjsku — ciąży na prawo... Jeszcze rok temu zdejmował czapkę przed każdym „pomidorem..." grzmiało wśród kolegów.

A koleżanki ostrzegały:

— Tylko nie zróbcie z niego malinowej pomadki, bo straci linię...

Konceptowano na ich temat, ale nikomu do głowy nie przyszło robić dwuznacznych żartów.

Lubią się, kują razem, — ot i wszystko.

A im było z sobą nieskończenie dobrze.

Ciupa Edwarda okazała się za ciasną, więc Stefa zaprosiła go do siebie. „Baba" kręciła nosem z początku, jednak, udobruchana dwoma funtami „rosyjskiej" herbaty, kazała wstawić nietylko krzesło, ale nawet i fotel.

Do ósmej uczyli się co wieczór. Potem — Primus z pod stołu na stół i składkowa kolacya, na którą często przychodzili koledzy i koleżanki. Po kolacyi szli wszyscy razem na spacer albo na posiedzenie. Niekiedy jednak Edward zostawał sam i gadali, patrząc z wysokości piątego piętra, na ruch uliczny.

Księżyc, zasnuty siatką mgieł liliowych, ślizgał się po murach domów, spiętrzonych nad cichemi wodami Limatu. Szumiało w dole: turkot, tętent, gwar, śmiechy. Tu serenada pod oknami bladej Szwedki, w której kochało się pięciu rosyjskich studentów; tam—bębny, piszczałki, flety i gwizdki Armii Zbawienia, idącej na połów dusz potępionych... A ponad wszystkiem — noc jasna wiosenna, a pod okiem nocy rytmiczny, miarowy plusk wody w kanale...

Po przez wrzawę uliczną, z piersi rozkrzyczanego miasta, z nurtów rozpluskanej wody,

ze światła gwiazd, kołujących w przestworzu, z anemicznych blasków księżyca, szła na niego i na nią tęsknota.

— Wiesz, czuję w tej chwili zapach łąk skoszonych...

— A mnie wyraźnie, najwyraźniej, mignęło przed oczami żółte pole, takie, nad którem — po nocy—zdają się włóczyć duchy białe...

— Co będziesz robił, jak wrócisz?

— Co ty będziesz robiła?

Roiły się projekty, padały plany, walił taran za taranem.

Oświata... proletaryat... burżuje... rumowiska przeżytków... precz ze zgniłym ustrojem!... ludzkość... odrodzenie... przeszacowanie starych wartości...

W mózgach buchały płomienie i szły dreszczem oczekiwania, nadziei, wiary. Płonęły oczy, rozprężały się ramiona.

— Stefa, ciebie na barykady!... Tłum pójdzie za tobą...

Patrzyła na niego długo, przenikliwie.

— Ale ty, czy nie oderwiesz się od tłumu?

Gwar uliczny przycichał, serenady milkły, księżyc chował się za gazę chmur, gasły światła w oknach domów, gdy bury Ed wychodził—bez pożegnania, jak wchodził bez przywitania, zabierając z sobą to, co zostawiał: dwugłos jednej duszy...

Na wiosnę przed egzaminami czwartego semestru, „banda” zorganizowała wycieczkę do francuskiej Szwajcaryi. Patronowali „Burscy”, t. j. Stefa i „bury Ed”; sekretarzował „Słoń”, młody prawnik, przyszły polityk dyplomata. Skarbnikiem mianowano finansistę „Bułę”, który, dostając od matki 50 fr. na miesiąc, zaoszczędzał dziesięć. Do rozweselania towarzystwa był „Mólik”—Górska, jej satelita z przyrody, „Netor”, tenor liryczno-dramatyczny, który po skończeniu kursów miał jechać do Włoch na studya wokalne; „Myszka” i „Muszka” siostry medyczki, wreszcie matematyk-mandolinista „Kamyczek” Stein.

Dziesięć dni wagarów!—Cały Leman wzdłuż i wszerz!—Ostatni etap—Genewa!

Maj wyczarował najróżowsze świty, najzłocistsze południa, najsrebrzystsze noce, gdy włóczęga parowcami, pieszo, koleją dobijała do kresu.

W Genewie postanowiono zabawić się w burżujów.

Buła zadeklarował dwieście franków we wspólnej kasie, więc—precz z noclegami po tanich chłopskich oberżach. Hotel, jak się patrzy: materace sprężynowe, widok na jezioro; kobiety w jednym, mężczyźni w drugim numerze; obiady i kolacye co najmniej „Pod krokodylem”!... Wieczór w Kasynie: każdy dostaje po franku na ruletę.

Kamyczek z mandoliną, Mólik z cytrą, Bu-

ła z kijkiem w rodzaju batuty, poszli zamawiać numery dla... cyrku z Psiej Wólki...

Słońce zachodziło. Deszczem róż padły na Leman ostatnie promienie; płatami śniegu rozkołysały się na nich stada mew. Łodzie odbijały od brzegów: zakochana para w każdej... W mgłach po rosie drżały serenady. Na dydze, wprost kasyna, cichutko, bez szelestu drzemały platany: cztery w dwóch szeregach, a zdaleka—jak jeden wielki bukiet chryzolitów.

Cyrk zbił się cały w pokoju kobiet. Kamyk brzdąkał na mandolinie. Netor mruczando zawodził piosnkę, skomponowaną przez Bułę na cześć jednej z sióstr medyczek.

— O czem Mysza marzy?—O czem Mysza marzy?... O tym złotym hrabiu, o tym złotym hrabiu, co się może zdarzy..."

Rabin Stefa patrzyła w maj, rozedrgany purpurą, seledynem, przezroczystym, jak kryształ, ametystem — na cichej łusce jeziora.

— Patrz, — trąciła ją Muszka — te platany tam, na dydze, to uroczysko zakochanych... Podejść do nich—znaczy zginąć z miłości... Niema miesiąca bez jednej, dwóch, trzech ofiar...

Zapatrzyły się w popielatawą szarość, przyczajoną na skrajach widnokręgu i w rozsrebrzone mgłą rośną platany.

Przyszedł Ed i Mysza. Przestał brzdąkać Stein i razem z Netorem stanęli przy oknie.

Cyrk zebrał się cały.

Platany, bladnąc w białawych oparach, zdawały się cofać w głąb jeziora, jak odchodząca straż dnia gasnącego. Cienie nocy pełzły od brzegów smętkiem tajemnicy, zagadką snu—czuwania, wielkiem pytaniem przyrody.

Powiało milczenie. Skupiły się dusze w jakiemś zachłannem, mistycznem rozpamiętywaniu, którem nie kierowała świadomość.

Wszystkie oczy patrzyły w Leman, który scałował już ostatnie promienie i kładł się cicho pod tumany mgieł, biały od sennych mew, obcy gasnącym po zatokach rozgwarom.

Wtem porwał się Mólik.

— Co z wami? — Oszaleliście?... Patrzeć tak w jeden punkt, jakby Zürich i wszystkie nasze baby z niego wyjść miały?... Dalej w drobną kaszkę!... Kamyk ze mną, Netor z Myszą...

Trzy krzesła padły z hałasem. Zachwiał się duży, okrągły stół, zadrżała podłoga od wirujących par, które — zdawało się — rozbiją ściany pokoju.

Szał ogarnął wszystkich. Buła z Muszką, Słoń sam z sobą tańczyli. Tylko Stefa i Edward nie ruszali się z miejsc. Stojąc w oknie i patrząc w platany, milczeli.

Naraz Mólik, zdyszany, podbiegł do nich.

— Wiecie?... Na cześć szczęśliwie odbytej podróży i zgody, która panowała w Cyrku, proponuję, abyśmy się ucałowali: każda każdego

i każdy każdą... Burscy na początek!... Zobaczymy, jak to wygląda!...

I, niewiele myśląc, schwyciła ich głowy, przyciągnęła ku sobie.

Stefa delikatnie odsunęła Edwarda.

— Nie lubię takich żartów—rzuciła cierpko i odeszła od okna.

Mólik stanął, zakłopotany. Buła poskrobał mu marchewkę; Muszka i Myszka ruszyły ramionami, mrucząc pod nosem:

— Stara panna, dewotka!...

Cyrk nie wiedział przez chwilę, co robić z sobą?... Wreszcie Netor wysunął się naprzód i w takt kuranta ze Strasznego Dworu, zwykłej pobudki studenckiej, zanucił:

— Na uroczysko, na uroczysko, pod platany!...

Chórem powtórzono za nim wezwanie, i, porwawszy kapelusze, palta, laski, wyruszono gromadą: Edward ze Stefą, Netor z Mólikiem, Kamyk z Myszą; Buła z Muchą, Słoń sam z sobą, jak zawsze.

— Słuchajcie—odezwała się Stefa do Edwarda, gdy wchodzili już na groblę pod platany.— Mam nieraz wyrzuty, że trzymam was tak przy sobie, jak Baucis Filemona. Kiedyś... wiem... zemści się to na mnie... Wy musicie żyć, bzikować, jak oni wszyscy... Wasza natura tego wymaga i... przyjdzie czas... to się odezwie... Ja... nie mogę... Ta zabawa w całowanie: popsułam

ją wszystkim... błogosławią mię, ale... cóż ja zrobię?...

Żart z tego!... Ludzie tak nizko sięgają!... Wiem: lepiej dla nich... Ale ja... Może specyalne warunki złożyły się na to: moja samotność, zresztą... Ale mniejsza o tamte inne rzeczy... Dużo, wiecie, zwłaszcza w ostatnich czasach myślałam o tem, jak ludzie okradają samych siebie: co krok, co godzina, trwoni się cuda...

Pocałunek... to przecież przysięga... Zamienić ją na drobną monetę takiej sobie... dorywczej pustoty... Dzikie: prawda?...

Dla was może nie, bo... tak, jak ja, myśli chyba tylko Słoń... On też samotnik... i... widzicie... kocha naprawdę... patrzy w Muszkę, jak w cud, a ona—chcąc mu dokuczyć—przez prostą pewność, że każdy kolec z jej rąk to nowy tryumf gladyatorki,—kokietuje Netora, Bułę, Kamyka, kogo się da...

I on, i ona depcą kwiat, który płacze... Tylko... my łez nie widzimy: słyszymy pusty śmiech...

Jabym pozbierała takie kwiaty płaczące w jedną wielką mogiłę: może... po latach... wyrosłyby z nich najbielsze lilie i róże...

Usiedli na ławce pod platanami. Reszta Cyrku rozsypała się po wązkim, wydłużonym cyplu dygi, karmiąc mewy i wypatrując statek, którym miano popłynąć wprost do Kasyna.

Stefa, zakreśliwszy końcem parasolki parę

zygzaków na gładkiej płycie chodnika, ciągnęła dalej:

— Gdybym była piękną, jak Mólik albo która z moich sióstr, — poszłabym w tłum ze swoją własną ewangelią: „Kultu pocałunku...” Uczyłabym, że tylko matka dziecko i kochanek kochankę—w godzinę cudu, w dreszczu objawienia, w błękitnej ekstazie miłości ma prawo całować... Poza tem... usta winny być, jak białe róże...

Z moim nosem mówić o pocałunku—śmieszne. Ale... można to uogólnić...

Wiecie, uderzył mię kilka dni temu aforyzm Stendhala, spotkany gdzieś w jakiejś książce: „Miłość to cud cywilizacyi...”

Nowe światy odkryły się przedemną: zrozumiałam tyle, tyle rzeczy!... Przedewszystkiem—sama siebie...

Całe pokolenia kobiet, które żyły w czystości, walczą—poza mną—z instynktami moimi, z siłami natury, które—nie opanowane—pchnęłyby mnie w pierwszą lepszą zasadzkę.

I czy mi z tem źle?

Nie, bo mogę być waszą przyjaciółką, z góry wiedząc, że testament babek, prababek, uznany i wypracowany przez mój własny imperatyw, powstrzyma mię na najbardziej ślizkiej pochyłości...

Ale... innym ciąży takie dziedzictwo, więc wymyślono flirt...

Płaczą kwiaty, a my słyszymy tylko pusty śmiech...

Zdaleka rozbrzmiał tercyą gwiazd dobijającego do przystani parowca.

Cyrk zaczął nawoływać się dwoma pierwszymi taktami kuranta ze „Strasznego Dworu".

Ktoś krzyknął głośno:

— Burscy, hop, hop, naprzód!...

Po chwili całe towarzystwo odpłynęło w kierunku morza świateł.

Jak buda cyrkowa w dniu wielkich jarmarków, rozpaliło się Kasyno tysiącem girland i festonów ognistych.

Senny Leman odtwarzał je po przez welony oparów, jak widma kuszące, które — nawet w bezdnię jeziora—wlokły za sobą pstry liczman życia...

— — — — — — — — — — —

Całe trzy lata razem!...

Listy, wezwania na posiedzenia, przypomnienia o składkach, które miały być przesłane im obojgu, adresowano często tylko do niej lub do niego. Starczyło: przychodzili oboje. Mówiło jedno za dwoje. Dawał on głos lub ona, znaczyło: są dwa głosy.

— Jak wy żyć będziecie bez siebie? — pytali koledzy.

Jak?

Nie zastanawiali się.

A jednak przyszła chwila.

Stefa musiała wracać. Rozprawę doktoryzacyjną postanowiła napisać w domu i tylko wpaść później na miesiąc dla obrony jej.

Edward zostawał jeszcze cały rok.

Jeden długi rok!...

— — — — — — — — — — —

Odwiózł ją na stacyę.

Dzień był zimny, błotny; ziemia i niebo zlane w całun mokrej szarości, od której szedł ból po kościach, a po duszy—łzy!

— Napiszesz do mnie?...

Skinęła głową, nie mogąc mówić. Ściskało ją w gardle. Nie przypuszczała, żeby tak ciężko było żegnać się. Przecież zostawiali sobie dusze swoje... na zawsze...

Siedzieli w wagonie, pełnym hałaśliwej rozmowy dwóch wracających z podróży — po berneńskim Oberlandzie, rodzin. Nie zwracano na nich uwagi. Edward, obrócony plecami do grubej niemki, zdejmującej z pleców tłomok podróżny, mówił, cicho z przerwami:

— Powiedz, jak to będzie?... Ciągle razem, a teraz... Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy: ty... ja... każde oddzielnie...

Gryzła wargi, żeby się nie rozpłakać. Nic, nic odpowiedzieć nie mogła.

Objął ją wielkiemi siwemi oczami, jak gdyby chciał wypić łzy z pod powiek jej.

Spuściła je. Pierwszy raz nie wytrzymała jego wzroku. Patrzyli na siebie zawsze śmiało, szczerze. Dziś—szlochało w niej wszystko, a pod tem jego bolesnem, bezradnem spojrzeniem wzdymały się smutki i żale życia całego.

Wiedziała, co ją czeka w domu?... Praca. Poza tem cicha, małostkowa, głupia zgryzota drażnionej od poranku do wieczora ambicyi.

— Ala była królową balu...

— Meta odrzuciła trzech konkurentów...

Tem ją powitają. Te i tym podobne uwagi wysłuchiwać będzie musiała codzień, co godzina.

Listy matki i ciotek pełne były zachwytów nad salonowemi zwycięstwami „tych dzierlatek".

One same odzywały się rzadko i krótko, zajęte wielkoświatową paradą. Ojciec tylko dodawał bardzo znamienne przypiski:

„Martwi mnie czcze, puste życie sióstr twoich.

„Ty jedna dasz coś światu i—sądzę—sama znajdziesz spokój, nigdy nie żałując dni swoich..."

Kartki te nosiła na piersiach: o reszcie zapomniała.

Teraz — przeszłość odżyć miała na nowo. tryumf sióstr i... robak zawiści...

Czy tak?...

Nie, stanęła wyżej. Tamto nie wróci, ale w blichtrze, w pustce otoczenia przyjdzie żal za złotym snem przyjaźni, który odkrył przed nią nowe światy.

Przyjdzie?...

Już jest; już dławi pierś szlochem.

Edward prosił:

— Pisz codzień... przysyłaj każdą myśl swoją... jakgdybyśmy byli z sobą...

Skinęła głową.

— Przypominaj mi hasła nasze...

— Czy wątpisz o sobie?

Wrzawa w wagonie zgłuszyła rozmowę.

Para hałaśliwych podlotków, bawiąc się w łapki z piegowatym wyrostkiem, co chwila potrącała Edwarda i z krzykiem „pah...h... don" cofała się w tył, aby znowu natrzeć.

Stefa myślała: rozstajemy się... To, co było: dziewiczo-czysty sen przyjaźni znika, nie wróci już nigdy, bo taki poemat przeżyć można raz tylko...

— Dałeś mi szczęście bodaj pierwsze i ostatnie w życiu, pokarm do śmierci... dziękuję...

— Ty... mnie... ty?... To przecież ja tobie... Oczyściłaś mi duszę... Czy wiesz?... Przez ten czas nie znałem żadnej innej kobiety: gardziłbym sobą, gdybym znał... Tak, od ciebie szła świętość... My... musimy być razem....

Spojrzał na nią i zamilkł. To, co przez trzy lata ciągłego obcowania nie przyszło im na myśl: możność połączenia się na zawsze, teraz padło z jego ust, jak objawienie.

Spuścili oczy, zmieszani.

Starszy podlotek pchnął Edwarda w tej

chwili tak silnie, że twarzą padł na twarz siedzącej wprost niego Stefy. Usta ich zlały się oddechem, a przecież nie przywarły do siebie.

Na nią powiał nagle dziwny spokój. Odbiegły żale; schował się gdzieś głęboki ból gorzki. Wargi zadrżały uśmiechem.

Czemu żegnać go tak grobowo? Niech pamięta ją wesołą, swobodną, jak zawsze.

— Rozmazaliśmy się, jak dwa Filony i trzy Dorydy, a przecież... cóż wielkiego?... Zobaczymy się. Ty przyjedziesz do mnie... Obiecałeś... jak tylko skończysz z doktoratem... prawda?... Nie będzie to, co u „baby"... Taka swoboda już nie wróci... Przy mamie i siostrach będziemy musieli mówić sobie „wy" i to zaczną ruszać ramionami... Ojciec wie o naszem braterstwie; nie gniewa się; on wszystko rozumie, ale— jego nie rozumieją... W każdym razie musisz przyjechać, a tymczasem będziemy pisywali... Ty pierwszy. Albo nie: razem jednocześnie... Wieczorem jutro oba listy: dobrze?...

Nie zdążył odpowiedzieć. Gruby jakiś pan z pakunkami wtoczył się do wagonu. Trzeba było ustąpić mu miejsca.

Podali sobie ręce. Hałaśliwe podlotki dygnęły Edwardowi na pożegnanie.

Stanął przed oknem pod szarym dachem dworca.

Rzucili już tylko kilka banalnych pytań.

— O której będziesz w Dreznie?

— Późnym wieczorem. A ty co robisz dzisiaj?...

— Nie wiem: upiję się... Zaraz, jak pociąg ruszy, pójdę do bufetu...

— Edwardzie!...

Tyle razy tem słowem i tem spojrzeniem wytrącała mu z ręki kieliszek.

— Nie zrobisz tego, prawda?...

— Zrobię... nie żądaj... Wiesz, słucham ciebie zawsze, gdy mogę... Dziś... pozwól...

Patrzył błagalnie z nerwowem drżeniem w kątach warg.

Wysiliła się na uśmiech.

— Pojutrze dostaniesz list odemnie...

I ty także...

Świst parowozu, turkot wagonów. Pociąg ruszył w tumany szarej mgły.

— — — — — — — — — — —

Życie w domu urządziła sobie najzupełniej niezależnie od trybu, jaki pędziły siostry i matka, z modnej czarnej kawy pędzone na koncert, z koncertu na raut, z rautu na bal. Rano sprawunki, szwaczki, fryzyerka. Po śniadaniu dzienne wizyty, a zawsze gwałt: ani chwili wytchnienia, bezduszny, zachłanny pośpiech.

Odgrodziła się od nich murem „staropanieńskich dziwactw“, jak nazwała to matka: inaczej—dnia, godziny nie wytrzymałaby z nimi.

— Jestem dla was ciągle studentką w Zu-

rychu. Niema mnie: pisujcie do mnie listy, a ludziom mówcie: „zwaryowała"...

To tylko mogła odpowiedzieć na wymówki, że zamiast zająć trzecie łóżko w pokoju sióstr, wyprowadziła się na górę, gdzie dotąd sypiał lokaj i z brudnego składu niepotrzebnych rupieci, urządziła sobie zaciszny, pełen książek salonik, do którego nie dochodziły gwary rautującego, balującego, koncertującego świata.

Kilka dobrze płatnych lekcyi na mieście: dwa komplety robotnic i robotników u siebie, zresztą praca w zwartej grupie „swoich ludzi"— to było jej wszystko.

Matka łamała ręce; siostry brały się za głowy...

— Ty dajesz lekcye... ty każesz sobie płacić, jak pierwszy lepszy głodomór, któremu z nóg leci obuwie... Co ludzie powiedzą?... Gintowtówna... prawie z książąt, córka dyrektora banku, nauczycielką!... Palcami pokazywać cię będą!... Ciebie i nas,—bo rozumie się, na nas pada główna hańba, że... pozwalamy... Ojciec za tobą: on wiecznie skacze, jak mu zagrasz... Patrzy twojemi oczami, mówi twojemi ustami, ale... przecież i on w końcu przyzna, że to skandal...

Nie przyznał, nie przyznali oboje.

. . . .

W domu Gintowtów panowała wieczna szarpanina, wieczny zamęt ludzi, żyjących nad stan.

Wymagania Mety i Ali nie miały granic. Ojciec dawał, co miał, zostawiając dla siebie samego tylko nieznaczną część dochodów na książki i podróże.

Kosztem tych jego własnych przyjemności kształciła się Stefa zagranicą.

Pierwszego roku przyjechał do niej: następnych nie starczyło.

Cichej, ale upartej stanowczości „pana dyrektora“ trzeba było, żeby nie wpaść w tragedyę pieniężnych powikłań.

— Nie dam — odpowiadał Gintowt twardo, gdy żona i córki prosiły o nadetatowy dodatek do sumy miesięcznej na stroje lub zabawy, a wtedy nic nie pomagało: ani spazmy Mety i Ali, ani groźby pani dyrektorowej: „zastawię srebro i będzie wstyd“; ani najgorsze ze wszystkiego: „pożyczę od żyda“.

Ruszał ramionami i wychodził z domu. Wracał na kolacyę, jakgdyby nic nie zaszło, ale — ze zmarszczki na czole, ze ściągniętych surowo brwi i ust poznawano, że niema siły, którąby opór jego przezwyciężyć mogła.

Matka co rok sprzedawała coś ze swoich kosztowności; siostry płakały, ale nawet dla kolii brylantowej nie były w stanie wyrzec się jednego balu lub rautu.

— Stefie dajesz, czego jej się tylko zażąda, a nam, jak kopciuszkom... Wiecznie tylko ten budżet... jak gdyby nic innego na świecie nie

było... Wszyscy widzą, że masz dwie miary... powiedziała mu kiedyś przed wyjazdem „tej dziwaczki" do Zurychu Meta.

Spojrzał na nią tak, że w tej chwili spuściła oczy i już nigdy potem nie śmiała powtórzyć wymówki.

Czy były sceny o nią między ojcem a matką i siostrami po wyjeździe jej?—Stefa nie wiedziała.

Wróciwszy, postanowiła nic nie żądać od rodziny, a ojcu zwróciła podróże jego i książki.

Lekcye dostała bez trudu. Żydowsko-burżuazyjna plutokracya uważała sobie za zaszczyt mieć nauczycielkę prawie z książąt, córkę dyrektora. Dyplom uniwersytecki torował drogę do zaufania i hojnych kieszeni. Zarabiała, jak wyższy urzędnik, a rozkosz kształcenia młodych głów, rzucania w nie bujnego siewu była chyba wyższą od radości i dumy, którą budzi poczucie materyalnej niezależności.

Pieniędzy dla siebie potrzebowała niewiele, ale pochłaniała je robota z ludźmi, do których przystąpiła zaraz po powrocie z Zurychu.

Ojciec nie badał, ale domyślał się wszystkiego.

— Nie potrzebujesz trochę floty? — pytał nieraz. — No, nie dla siebie: przecież wiem, że masz dosyć, ale...

Brała drobne sumy, a gdyby była chciała, wyrzekłby się znowu podróży i książek; nie żądała tego.

W „Arkadyi“ swojej, — tak nazwała pokój, odziedziczony po lokaju i niepotrzebnych rupieciach, — teraz — pełen kwiatów, które przynosił ojciec, — spędzała z nim razem długie wieczory na czytaniu, gawędzie, przeglądaniu pism, grze w szachy.

W dni jej wykładów dla robotników i robotnic siedział w fotelu cichutko, palił papierosa i, słuchając pilnie, robił później uwagi.

Przyjmowała je lub zbijała. Rozprawy ciągnęły się długo w noc, jak niegdyś z Edwardem.

Edward...

W pierwszych miesiącach tęskniła za nim bardzo. Pisywali do siebie codzień. Stopniowo listy stawały się coraz rzadsze. Jego pochłonęły przygotowania doktoryzacyjne; ją lekcye, posiedzenia—rozprawa doktorska na temat: „Historyi uczuć“.

Kiedy była bardzo zmęczona, kładła się na kanapie, ojciec czytał jej głośno.

Każdą wolną chwilę spędzali razem i ani spostrzegła, jak powoli zaczął zabijać w niej tęsknotę za przyjacielem.

Nieraz zdawało się jej, że Edward jest tu przy niej, starszy tylko, spokojniejszy, zrezygnowany i powściągliwszy. Głos ojca trochę cichszy, zmatowany i jakby powstrzymany nagle w nieokiełznanych wybuchach młodzieńczej porywczości, podobny był do jego głosu. Siwe oczy,

patrzyły tak samo, jak oczy Edwarda: otwarcie, prosto, w samo jądro duszy.

Wieczorem, o zmroku, miała niekiedy dziwne wrażenie: od twarzy ojca odrywała się druga, młodsza znacznie; mówiło jakby dwoje ust pochylały się dwie głowy.

Widzenie trwało nieraz tak uparcie i tak żywo, że—pełna strachu — zrywała się, zapalała światło i patrzyła: czy obok Gintowta cudem nie przysiadł bury Ed?

Złuda pierzchała, ale ślad jej zostawał w duszy. Nie mogła myśleć o ojcu, nie myśląc zarazem o Edwardzie. Nie mogła wspomnieć Edwarda, żeby natychmiast nie stanęła przed nią sylwetka ojca.

Dwaj ukochani: który — droższy? Nie wiedziała.

Do ojca tuliła się nieraz, jak dziecko, całując jego oczy, gładząc miękkie białe włosy.

Z Edwardem—rzadko kiedy nawet na przywitanie lub pożegnanie podawali sobie ręce; najczęściej kiwał głową, wchodząc — odpowiadała kiwnięciem.

Minął cały długi rok, w ciągu którego coraz bardziej tłumił się i przygasał jego obraz.

Przyszli inni ludzie: w każdym „towarzyszu" było coś z Edwarda: w jednym—zapał, w drugim— miękkość i słodycz, w trzecim—porywy, gasnące szybko pod obuchem logiki trzeźwych kanonów; w czwartym—jego sposób mówienia i podnosze-

nia ramion w chwili napiętej uwagi, przegarniania palcami czupryny i opuszczania ich powoli w milczącem, zachłannem skupieniu.

Wszyscy oni, przypominając go, tłumili potrzebę obcowania z nim. Żaden z nich nie był jej tak blizki, a jednak każdy zastępował go potrosze.

Ani spostrzegła, jak przestała myśleć o Edwardzie. To też, gdy po roku przyszła kartka: „Za trzy dni przyjeżdżam i prosto z pociągu lecę do ciebie...“ serce jej zabiło nie tyle radością, ile trwogą, zakłopotaniem.

— Jak my się przywitamy?—Czy odnajdziemy w sobie dawnych „ludzi“?...

Jadła obiad z rodziną, kiedy służący podał jej bilet.

Zerwała się od stołu, wybiegła i po chwili wprowadziła go z sobą.

Wszedł nieśmiało, kłaniając się, jak żak przed komisyą egzaminacyjną.

Posadziła go przy ojcu, małomównym z natury, którego ona tylko umiała rozgadać.

Padło ciężkie, dławiące milczenie.

Nie śmiała odezwać się pierwsza do niego, bo przez usta nie przechodziło słowo: „ty“ wobec matki i sióstr, które patrzyły na nich z pełną lekceważenia ironią.

— Pan na długo? wykrztusiła—matka.

— Nie wiem... zależeć będzie... jak Stefa... panna Stefania zechce... czy jej nie przeszkodzę?

Czuł całą śmieszność swego zmieszania i onieśmielenia. Chciał dodać coś jeszcze, ale nie szło. Rozmowa rwała się co chwila. Meta i Ala zasłaniały usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Wreszcie ojciec, podniósłszy się i rzuciwszy głośno: „idę ze Stefą i z panem Przedmolskim do jej pokoju... tam proszę przysłać kawę“— wybawił wszystkich z kłopotu.

W „Arkadyi“ odrazu zapanował inny nastrój.

Usiedli wszyscy troje obok siebie. Zapalono papierosy. Służący wniósł kawę i owoce. Stefa i Edward na wyścigi zaczęli wspominać studenckie czasy.

— Pamiętasz nasze kolacye na podniebiu? Przynosiłeś kawał kiełbasy; gotowało się jajka; smakowało, jak uczta zamorska...

— Albo ten wieczór wielkopiątkowy u mnie. Naparłaś się jazdy łódką po jeziorze: przyszła burza z deszczem i grzmotami, przemokliśmy do nitki. Jakiś statek zabrał nas na pokład i przyciągnął łódkę, bo nie mogliśmy dobić do brzegu. Zabrałem ciebie do siebie: było bliżej. Ubrałaś się w moje palto i przesiedziałaś do rana, aż wyschła suknia. Czytałem ci głośno całą noc wtedy... pamiętam doskonale: „Listy Słowackiego do matki“ — te ostatnie... mistyczne... Zapuściliśmy się w rozprawy na temat metampsychozy i palingenezy... Ty dowodziłaś, że wiesz, czem byłaś w poprzedniej swej przemianie; szarą,

przykucniętą dolą oskubanego wróbla, któremu było źle, bardzo źle...

— A ty twierdziłeś, że nic nie wiesz, że cofając się myślą wstecz, w prabyty swoje, widzisz tylko mrok i drżysz przed nim...

— Ty mówiłaś, że trzeba jedynie wysiłku, woli, żeby zrozumieć prabyt. Ja nie przeczyłem: może... I żal mi było, że nie mogłem obudzić w sobie tej woli...

— Świtało już, kiedy odprowadziłeś mnie do domu...

— I tego dnia pierwszy raz zaspaliśmy...

— Każde u siebie. Wieczorem dopiero, już późno, zastukałeś do mnie ze swoją kolacyą.

— I znowu zaczęliśmy gadać o metampsychodzie, palingenezie, nirwanie, sansarze...

— Chciałeś mi czytać głośno „Króla Ducha", ale cię wyprawiłam do domu, żeby znowu nie siedzieć do rana...

— Nieraz nie miałaś nademną litości, wyrzucałaś mnie za drzwi, kiedy się najlepiej gadało...

— Ubolewaliśmy oboje, że ty nie jesteś kobieta, bo wtedy mieszkalibyśmy razem i moglibyśmy sobie zdzierać gardła do samego rana...

— Te głupie przesądy; pamiętasz, jakeśmy wymyślali na nie?

— Jeszczeby też? Ale, ojcze, ciebie nudzi to nasze paplanie?

Gintowt, paląc papierosa, śledził kółka dy-

mu z taką obojętnością, jakgdyby nie przefruwały mu nad uchem wyrazy, które chwytał łakomie. Że słuchał pilnie, można było poznać po zmarszczce pionowej nad brwiami i w kątach ust, które ściągał zawsze w chwilach natężonej uwagi.

— Mówcie, mówcie... jakby mnie nie było...

Zaczęły się pytania o kolegów i koleżanki.

— Wiesz, Słoń jest tutaj... Pracujemy razem. Możesz go zobaczyć, choćby i dzisiaj... Obiecałam mu ciebie... A Mólik co robi?... Podobno kuje po dawnemu i z przyrody przerzucił się na medycynę?...

— A jakże. Cały dzień w robocie, ale humoru nie traci. Pamiętasz, jak rozweselał nas w tej naszej podróży bandą po Szwajcaryi rok temu?...

Czy pamięta?

Stefa zamyśliła się. Wspomnienia natarły na nią, jak coś żywego: pęd siły, która w mistycznych wirydarzach podświadomości stwarza cud nagle wskrzeszonych obrazów.

Ten wieczór pod platanami: welony mgieł nad Lemanem... zapach młodej trawy i liści... białe mewy w deszczu róż... i jej rozmowa z Edwardem, bodaj pierwsza i jedyna o miłości...

— Wiesz?—odezwała się powoli, zmuszając myśl do wytrzeźwienia — z tamtych dni zostało mi jedno: dalsze rozpamiętywanie marnotrawstwa naszego w stosunku do uczuć. W każdym z nas

płacze jakiś biały kwiat tęsknoty. Żeby zdusić łzy, depcemy kwiaty i... jesteśmy, jak żebracy...

Tak mię nurtowała ta kwestya, że przemyślałam ją w ciągu wielu nocy i... napisałam coś o tem, choć... wiesz... jak pisać nie lubię...

Męczą mię... Słoń i inni... żeby powiedzieć to publicznie na nasze Koło oświaty. Przyrzekłam. Za trzy tygodnie będzie ten — pierwszy w życiu... mój odczyt. Zostaniesz?...

— Pytanie...

— Chciałabym przed wami: tobą i ojcem urządzić próbę jeneralną tej szopki, to jest wydeklamować głośno choćby tylko wstęp i zakończenie... to najważniejsze... Będę mówiła z pamięci... Gdybyś nie był zmęczony, to choćby dziś jeszcze, teraz, w tej chwili...

Otworzyła szufladę i sięgnęła, po kilka gęsto zapisanych arkuszy papieru.

Wtem zaszumiało na schodach: z szelestem jedwabnych spódniczek, z brzękiem bransoletek, breloków i łańcuszków wpadły do sieni Meta i Ala, które przypadkiem tego wieczora nie miały żadnego rautu i nie wiedziały, co zrobić z czasem?

— Może nie wolno?

Dyskretniejsza Ala czekała we drzwiach na zaproszenie. Meta wbiegła bez ceremonii, podnosząc do oczów co chwila to jakieś cacko z etażerki, to książkę z biurka, to wreszcie kwiaty z wazonów.

— Takie rzeczy u ciebie?—Nie wiedziałam, że filozofka dba o przystrój mieszkania... Skądże te kwiaty?... Sama kupiłaś?... A nie, papa przyniósł ci pewnie: to twój kawaler... takiego jeszcze nie miała żadna panna... Ha, ha, ha!...

Śmiech jej zatętniał w całem mieszkaniu.

Ala na zaproszenie Stefy weszła także. Zaczęły się rozglądania, szepty, głośne i ciche uwagi:

— Panie pierwszy raz u siostry? — zapytał Edward zdziwiony.

— No, tak jakby... Ona nigdy nie ma czasu: wiecznie jej się przeszkadza... Tylko papie wolno wejść w każdej chwili...

— Meta, Ala, oû êtes vous? — rozległ się z dołu głos matki.

— Tu, w Arkadyi!—zawołała przez uchylone drzwi Meta.

Znowu szelest jedwabnych spódniczek, brzęk bransoletek, łańcuszków, breloków, tym razem dyskretniejszy, kroki cięższe i głośny astmatyczny przydech.

Matka też pierwszy raz weszła do Arkadyi. Takt i wrodzona dystynkcya nie pozwoliły jej rozglądać się zbyt widocznie, ostrożnie jednak i jakby od niechcenia wodziła wzrokiem po pokoju, oparłszy go w końcu ze źle tajoną ciekawością na Edwardzie.

Jaki on?—Czy nie nadałby się przypadkiem dla Mety lub Ali? Boć przecie trudno przypuścić, żeby starał się o Stefę?—Nazwisko ma nie-

złe; jedynak; dziedziczy po rodzicach majątek dość znaczny... Przyszłość obiecująca: katedra w Krakowie lub Lwowie... Te głupie socyalizmy wprawdzie... No, ale z czasem takie rzeczy wietrzeją...

— Pan z Galicyi? — Mam tam krewnych: rodziny Brzozowskich, Zakrzewskich, Zbąskich... Może panu znane... Żadna z nich?...

— Niestety, poza kolegami nie widuję nikogo...

Nastąpił szereg pytań o rodzinę jego własną, stosunki, plany na przyszłość. Treść ich i kolej można było podszepnąć z góry. Nie chybiały nigdy. Każdy młody człowiek przechodził przez podobny egzamin.

Wsunięta w fotel, rzucała je z pewnem lekceważeniem, wytężając wszakże słuch, aby nie stracić jednego słowa odpowiedzi.

Edward bąknął kilka „tak", „nie" i kręcił się na krześle bezradnie.

Atmosfera stawała się duszna, nie do zniesienia. Meta i Ala szeptały między sobą, nie spuszczając oczu ze Stefy i Edwarda; Gintowtowa obmyślała szereg coraz zawilszych pytań. Gintowt gryzł wąsy i chrząkał, co było oznaką silnego niezadowolenia.

Uchronić „burego Eda" od dalszych tortur, wyratować go z położenia konkurenta, branego pod mikroskop!

Stefa wpadła na pomysł.

— Możebyś... możebyście poszli, kolego, ze mną dzisiaj na posiedzenie? — spytała naraz, wyjmując zegarek. Ósma za kwadrans... już czas... spotkacie znajomych: Słonia, Hankę Lewicką...

— Ależ z rozkoszą...

Wstał, uradowany.

Matka przeszyła ją gniewnym wzrokiem. Edward musiał być uznany za kandydata godnego ręki Mety lub Ali, gdyż odezwała się cierpko:

— Chciałam prosić wszystkich na dół: Meta i Ala pograłyby, pośpiewały trochę, a ty zabierasz nam pana... Nie mówię już o tem, czy wypada lub nie, żebyś sama z młodym człowiekiem chodziła na jakieś zebrania, bo wyłączyłaś się z pod mojego wpływu zupełnie; zresztą, — masz za sobą zawsze ojca, który ci na wszystko pozwala; przykro mi tylko, że twoje wyodrębnianie się doszło do tego, że nie chcesz podzielić się nawet gościem swoim...

— Pan Przedmolski przyjechał tu przedewszystkiem, żeby poznać i usłyszeć coś więcej nad mazurki Chopina i barkarollę Galla... Meta i Ala urządzą popis jutro, pojutrze, za tydzień: nie zginie... Dziś... Stefa ma pierwszeństwo...

Stanowczy głos Gintowta stłumił na chwilę opozycyę.

— Jeżeli pani pozwoli, skorzystam z zaproszenia innym razem...

Edward usiłował złożyć jak najzręczniejszy ukłon, ale wypadł trochę krzywo, niezdarnie.

Zaniedbany w ubraniu, nieobyty towarzysko miał jednak wdzięk swój odrębny, którym pokrywał salonowe niedobory. Zresztą, perspektywa spadku łagodziła wszelkie braki.

Gintowtowa wyciągnęła rękę.

— Sądzę, że pan nie zechce być tylko gościem najstarszej mojej córki, która stworzyła sobie świat zupełnie odrębny i usunęła się od nas. Proszę, bardzo proszę, nie dać się wyciągać na posiedzenia. Może pan poświęci i to dzisiejsze?... W takim razie...

Gintowt szarpnął się gniewnie.

— Proszę cię, nie psuj projektów już gotowych. Pan Przedmolski jest przedewszystkiem gościem Stefy i ona jedynie ma prawo do niego. Niech układa mu dzień, jak sama zechce: zna go lepiej od nas i wie, co zrobi mu przyjemność!...

Padło kłopotliwe milczenie, w czasie którego Stefa włożyła na siebie palto i kapelusz. Razem wszyscy wyszli z pokoju. Meta i Ala, szeleszcząc spódniczkami, podśpiewując aryę z „Madame Butterfly“ zbiegły ze schodów.

* * *

Pół dnia z Metą i Alą, które podczas lekcyi Stefy oprowadzały go po mieście; krótkie chwile poobiednie w „Arkadyi“, dokąd najczęściej — po niedopitej filiżance czarnej kawy — wpadały panny, aby douczać pupila salonowych

rozmówek, kładzionych mu w głowę zrana; wieczorem—posiedzenia.

Stefa zauważyła, że Edward chodzi na nie coraz obojętniej. Niekiedy zrywał się w czasie najpłomienniejszych przemówień i wybiegał, bo... obiecał pannie Mecie wysłuchać pieśni Szopskiego lub czekać na wszystkie trzy panie w cukierni przed teatrem. Kilka razy nie poszedł wcale, wymówiwszy się bólem głowy, choć — wracając po północy — Stefa słyszała głos jego w salonie z siostrami.

Przestała w końcu wyciągać go z sobą.

Kiedyś po obiedzie zagadnął:

— No, a cóż odczyt? — Próba jeneralna nie dojdzie do skutku?...

— To od ciebie tylko zależy... ja... jestem gotowa...

Nie nalegał jednak.

Czuła, jak dzień każdy, każda godzina oddala go od niej.

Stali się sobie obcy.

Padało dziwnie kłopotliwe milczenie, gdy zostawali sami. Nie miał nic do powiedzenia — on jej, ona jemu.

— Nie jesteście już ta dawna Stefa, taka „własna“...

— Ja?

Patrzyła na niego z pełnem smutku zdziwieniem.

Spuszczał oczy, zmieszany.

Przeszli na „wy“, nie wiedząc nawet o tem.

Nareszcie obecność jego zaczęła ciążyć Stefie.

Nie mogła pracować, jak dawniej. „Arkadya“ straciła charakter. Co chwila ktoś wpadał. Meta i Ala szukały Edwarda, najpojętniejszego z uczniów, który w przeciągu paru tygodni przyswoił sobie wszystkie bez wyjątku reguły savoir vivre'u, nauczył się tańczyć i obiecał towarzyszyć pannom na bal wiosenny w trzecie święto Wielkiej Nocy.

— Co się z nim stało? — myślała Stefa, patrząc na różowy gwoździk w butonierce, który mu kłaść kazała Meta, na błyszczące lakierki, które sprawił, posłuszny żądaniu Ali, na smocking i kamizelkę z białem podszyciem, w które go ubrała matka.

Odebrano go jej: słaba, wątła, dusza, której nie umiała utrzymać...

Walczyć o nią... z... Metą i Alą?...

Ruszyła ramionami i usiłowała zapomnieć o wszystkiem.

Z początku szło dobrze. Była obojętna. Odszedł od niej?—Trudno: nie zawróci go przemocą.

Stopniowo jednak cichy, tępy ból przyczajał się po kątach duszy, jak groźba czegoś nieprzewidzianego. Ssał piersi, siadał na mózgu, wrzynał się w skronie, przelewał w ustach cierpką goryczą i tłoczył do ziemi męką bezporadną.

Budziła się rano z ołowianym ciężarem w głowie i ogłupiającą drętwotą krzyża, stóp, ramion.

Co to było?...

Nie rozumiała sama siebie.

Dotąd życie jej szło równo, bezpiecznie. Sama torowała sobie drogi; sama rzucała wskaźniki.

Nie zachwiała się nigdy; odsuwała od siebie zwątpienie; w twardej orce każdego dla wszystkich widziała promienne jutro dni nowych. Hartując ciało gimnastyką, ruchem na powietrzu, trzymała wolę w sprężystem, trzeźwem napięciu.

Broniła się przed roztkliwieniem: nie płakała nigdy. A teraz... kiedyś nad ranem... wstała z twarzą, mokrą od łez.

W ciągu dnia, zwłaszcza, gdy czuła na sobie znękane, pełne gorzkiego niepokoju spojrzenie ojca, napadał ją głuchy, wewnętrzny szloch, że uciekać musiała od stołu albo przerywać najpilniejszą robotę i biedz pustemi ulicami na skraje miasta, w kwietniowych zmierzchach szukać ukojenia.

Edward nie schodził jej z myśli. W dzień i w nocy twarz jego, jak na cieniutkiej niteczce, kołysała się przed nią.

Nigdy dotąd zmysły jej nie były w takiem napięciu. Jakaś mgła szara przysłaniała zjawę zewnętrzną. Nie czuła potrzeby wywoływać jej. Teraz dopiero, to, co zdawało się nierozdzielne:

jego dusza, wyrzucona poza kręgi jej duszy, przybrała kształty cielesne.

Nos, oczy, usta...

Nagle stanęło to przed nią widmem upartem.

Zrywała się od książek, wybiegała z domu. Majak szedł za nią, albo mylił jej drogę, wyskakując z za rogu ulic, z nad głowy pierwszego lepszego przechodnia.

Czasami twarz Edwarda ginęła za białą krepą niepamięci, ale za to bił w nią głos jego tak wyraźnie, że — zdawało się — tuż, tuż nad uchem przemknęły usta, które go rzuciły.

Odwracała wylęknione oczy: nikt nie przeszedł mimo niej, ale halucynacya trwała. Edward mówił. Luźne zdania, wyrywane z rozmów na podniebiu, uderzały w nią, jak coś, co teraz dopiero zaczynała rozumieć.

— Stefa, wiesz?... To nasze braterstwo może być grobem albo wielkiem świętem tryumfu kiedyś dla nas. Czasami chciałbym, żebyś ty była inna; to znowu... trzymasz mię tem, że jesteś taka... Klęczałbym przed tobą...

Raz w górach—byli sami nad chmurami i trzęśli się z zimna — objął ją w pół i chciał rozgrzać sobą. Odsunęła go, mimo, że dreszcz rozkoszy przelał się w niej pokusą; mimo, że coś nieprzeparcie ciągnęło do niego...

Czemu... wtedy... jak dziecko nie padła mu w objęcia?... Czemu nie dała ust do całowania?...

Żal za czemś, co miało nie wrócić, mroczył

przytomne, trzeźwe myśli. Przestała panować nad sobą. Wiedziała jedno: traci go na zawsze, a niema siły odejść spokojnie...

Przestała sypiać po nocach.

Cały gmach wiary w zwycięstwo czystych uczuć, gmach, budowany na podniebiu zurychskiem, leciał w gruz i ciągnął pod rumowisko ewangelię życia.

Jeden uśmiech Ali, zasadzka flirtu, zwalił taranem hasła, z któremi miała iść w tłum.

Za tydzień jej odczyt: co powie teraz, kiedy ostrze miecza własnych teoryi obróciło się przeciwko niej?...

Bo... Edward nie odszedłby od niej, gdyby przykuła go do siebie zmysłami...

. . . .

Ciepły wieczór majowy rozhuczał się gwarnym tłumem na ulicach, gdy Stefa, wróciwszy z lekcyi, padła na fotel w pokoju u siebie i czekała czegoś, czy kogoś, coby ją zmusił do zapalenia światła, rozłożenia książek i zabrania się do roboty, jak zwykle.

Całemi godzinami potrafiła teraz siedzieć bez ruchu i gonić myślą jakieś dalekie, zmartwychwstające obrazy, które czaiły się ku wypracowanym mozolnie łożyskom ducha, ku wyżłobionym drogom myśli i nanizanym, jak paciorki, na sznur twardej woli nakazom, żeby w godzinę mroku zwalić dorobek długich dni jasnych!...

Nie było ręki, którąby ją wsparła.

Sama... z orkanem, który w nią walił, z wichurą niepojętej, nieokiełzanej rozterki!...

Ojciec przestał przychodzić do niej. Wiedziała: cierpi, patrząc na nią.

Poza nim—nie miała nikogo.

Dotąd była dumna z królewskiego osamotnienia swego. Opierała się na sobie tylko i dźwigała innych. Od Edwarda, a później od tych, którzy przysłonili go sobą,—brała nie treść, nie imperatywy i kategorye życia, ale pył miodny: radosne poczucie łączności ducha z duchem...

Porwały się ogniwa, a miód zamieniono w piołun.

Zwiesiła głowę, zapatrzona w pełgający na podłodze deseń firanek, prześwietlonych pierwszym promieniem księżyca.

Mówiła sobie: „trzeba wstać“, a nie mogła zdobyć się na twardy akt woli.

Wtem słabe stuknięcie do drzwi.

Któżby?... Nie ojciec, bo od dwóch tygodni już nie był u niej. Może posłaniec, może która z uczenic?...

Drugi raz słabe, lękliwe pukanie.

— Proszę wejść!...

Drzwi uchyliły się cicho. Czarna sylwetka Edwarda, wydłużona i dziwnie płaska w księżycu, jak cień chiński, przemknęła przez pokój.

— Koleżanko Stefo, jutro wasz odczyt, nie

odłożycie go chyba po raz drugi?... Przyszedłem, boście mi mówili kiedyś dawniej, że chcielibyście go powiedzieć przedemną...

Odczyt... jutro?... prawda... nie myślała o tem... Odłożyć znowu, jak trzy tygodnie temu?... Niepodobna... trzeba zebrać siły...

Spojrzała na Edwarda.

On tutaj... ten obcy, dziwny pan w smokingu, z butonierką na piersiach?...

— Siądźcie!...

Wskazała krzesło obok siebie.

— Dobrze, żeście mi przypomnieli. Jutro już... Nie zdawałam sobie sprawy... Myślałam, że to kiedyś, kiedyś... a przecież już tylko jedna noc i jeden dzień... Dziękuję wam, kolego, ale wiecie?...

Zatrzymała się, urwała. Zbiedzonym wzrokiem wodziła po nim, jakgdyby chcąc doszukać się w tym wykwintnym modnym panu choć cząstki dawnego burego Eda, krakowskiego hamana, którego wypolerować musiała, ogładzić, aby módz z nim obcować.

Siedział zakłopotany, zmieszany, obcy, ale w oczach tliły się jakieś dawne dobre iskierki. Jedna z nich objęła Stefę słodką pieszczotą i wlała w nią dziwny spokój ukojenia.

— Wiecie, przeczytajcie *wy* mi co lepiej... Ja... dziś... doprawdy... nie mogę... Wolę słuchać... Pamiętacie?... Dawniej, ile razy miałam przemawiać na naszych wiecach, zawsze

przychodziliście przedtem i czytaliście mi głośno. To tak uspakajało, tak pozwalało się skupić...

Pochylił głowę, jak winowajca.

— Tak, prawda, pamiętam...

Padło kłopotliwe, dławiące milczenie, jedno z tych, w którem gubią się na zawsze albo odnajdują poróżnione dusze...

Stefa wstała, zapaliła światło, wzięła z biurka niewielką, w perłowy safian oprawną książkę: „Genezis z ducha“, ostatni dar ojca—i położyła ją przed Edwardem.

Spojrzał na tytuł i uśmiechnął się blado.

— Czytaliśmy to w twojej budzie całą jedną długą noc; pamiętasz?... Przyniósł Słoń na kilkanaście godzin i rano trzeba było oddać...

— Tak, prawda, pamiętam.

Znowu tępe, ołowiane milczenie.

Stefa siadła w otwartem oknie. Maj ciepłym powiewem muskał jej czoło.

— Czytajcie, kolego!...

„Na skałach oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego...“

Ten głos, jak cichy, ciepły dzwon...

Skryła twarz w ręce i słuchała nie wyrazów, lecz melodyjnych, równomiernych skandowań, niby fali metalu płynnego, która wzbijała się i opadała w harmonijnym rytmie. Kojarzyła

myślą nie pojęcia dźwiękowe, lecz echa wspomnień.

Wczoraj i dziś: pył miodny i piołun...

On czyta, *jego* głos...

Nigdy dotąd, słuchając go, nie uprzytomniała sobie, że Edward i ona to dwie siły, dwa duchy, dwie zjawy fizyczne, dwie jednostki same w sobie...

Trzeba było oderwać go od niej, żeby targnęło nią uświadomienie odrębności...

Ten głos: to już coś po za nią, coś, co nigdy nie wróci, nie osiądzie w niej tem poczuciem zespołu, który... teraz to wie dopiero... był radością życia...

Wczoraj i dziś...

Podniosła głowę; wpatrzyła się w twarz Edwarda z tą skupioną uwagą, z jaką pierwszy raz bada się własne odbicie na tafli szkła ciemnego.

Te czarne włosy...

Dawniej, zwichrzone bezładnie; teraz—pod misternem dotknięciem fryzyerskiego żelazka — gładkie, spokojne, prawidłowo — jak kazała moda—z boku przedzielone...

To czoło jasne, na które niegdyś opadała, rozgarniana co chwila, czupryna... Nos prosty w osadzie, a potem — lekko wygięty, jak dziób młodego orlęcia... Matowa cera, usta, łagodnie wykrojone, a jednak... w kątach warg zacięte...

usta, których dotknięcie musi budzić dreszcz rozkoszy...

Przyczaić się do nich, skraść pierwszy pocałunek i... oszaleć ze szczęścia...

Wiatr musnął jej wargi słodką, cichą pieszczotą.

Zerwała się, przetarła oczy.

— Co to znaczy?... Gdzie jestem?...

Doznała wrażenia człowieka, nagle ze snu zbudzonego.

Co się jej zrobiło?... Co za majaki obsiadły mózg szalejący?...

Jakiś zdławiony ton duszy porwał się w niej buntem.

Chciała zdeptać to, co dotąd żłobiło wewnętrzne twierdze samonakazów i kreśliło proste, równe linie życia: chciała zdeptać, zdusić ambicyę, dumę i godność własną...

Opadał tępy, ołowiany bezwład; wracało trzeźwe uświadomienie i ten odruchowy, nagły poryw, który poprzedzał w niej zawsze decydujące szybkie postanowienia i akty silnej woli.

„W skałach więc już, o Panie, leży Duch, jako posąg doskonałej piękności, uśpiony jeszcze, ale już przygotowany, na człowieczeństwo formy...“ — czytał Edward.

— Dosyć, kolego, teraz pogadajmy...

Wskazała mu nizki fotelik pod oknem, tuż przy sobie.

Chciała go zapytać, czy zdaje sobie spra-

wę z obecnego życia swego?... Czy odchodzi od wszystkiego, co dawne, dobrowolnie, z jasnem uświadomieniem nowych dróg i celów, z trzeźwą pewnością, że nie pożałuje nigdy gwałtownego zwrotu na prawo, z wiarą, że będzie się czuł dobrze w świeżem, obcem środowisku, że mary przeszłości nie obsiądą go nigdy żalem za bezpowrotną godziną; czy też jest jak lunatyk, który w szalonym odruchu zawisł nad przepaściami?

Chciała podać mu rękę, jak siostra, wyzwolić go od przemocy, jeżeli wpadł w nią bezwiednie, dźwignąć, jeżeli sam nie miał siły...

Nie wolno jej odejść od niego bez ostatnich słów ostrzeżenia lub... pożegnania. Nie mogli rozstać się, jak wrogowie...

Czuje w sobie powracającą energię. — Zniknął tępy bezwład. Wie: jutro już stanie do pracy, jak zawsze. Nie ma prawa zwlekać. Jak zębate koło wielkiej, w ruch wprawionej maszyny, dźwiga na sobie ciężar drobniejszych kół, kółeczek. Jeżeli zatrzyma się, przestaną wirować i one, osadzając na martwym punkcie olbrzymie cielsko żelaznego potwora.

Niema ludzi niezastąpionych, ale... wstrzymana w biegu jednostka zmienia rytm karawany...

Jest teraz już spokojna o siebie, ale *on*... co z nim będzie?...

Odsunął książkę, przetarł oczy i wstał powoli.

— Wiesz, Stefa, przez chwilę zapomniałem, gdzie jestem? — Zdawało mi się, że tam, na twojem podniebiu... Czułem wyraźnie zapach lawendy. Pamiętasz? Na nasze utrapienie przedostawał się zawsze przez szpary drzwi od baby... Słyszałem plusk wody w kanale i bzyczenie tramwajów... A przecież... tu... u ciebie... cicho, jak w kościele...

Szedł w leniwem, bezradnem zapamiętaniu. Chciał dawnym zwyczajem rozgarnąć czuprynę, ale palce opadły, dotknąwszy gładko sfalowanej masy włosów.

Usiadł na nizkim foteliku pod oknem.

— Co chcecie mi powiedzieć, koleżanko Stefo?—Słucham was...

— Ja... nic... parę pytań tylko... Przedewszystkiem...

Nagle z dołu odezwały się aż dwa głosy naraz.

— Panie Edwardzie, panie Edwardzie, gdzie pan jest?...

A gdy on nie odpowiadał, zapatrzony w bronzową statuetkę: popiersie Sokratesa, które trzy lata temu ofiarował Stefie na cześć pierwszych szczęśliwie po wspólnem kuciu odbytych egzaminów — zaszumiało na schodach, otworzyły się drzwi z rozmachem i na środek pokoju wpadła Meta.

— A... przepraszam... Sielanka: Endymjon u stóp Selene... Może lepiej nie przeszkadzać?...

Ale, panie Edwardzie, czy pan zapomniał, że jedziemy dziś na kolacyę do Konstancina z papą Łąckim, Wolskimi, Starskimi i całą grupą młodych?... Mama już gotowa: czekamy tylko na pana...

Wstał, podał rękę Stefie.

— Więc do jutra, na odczycie...

I w sennem rozleniwieniu, jak źle rozbudzone medium, zeszedł ze schodów, nie słysząc paplania Mety, która trzepała, że po kolacyi będą tańce: papa Łącki obiecał walca z „Manewrów“ i polkę z „Luksemburga“, a nikt tak nie gra, jak on... Młodzież przygotowała mnóstwo niespodzianek... Ma być oświetlony ogród... Muszą szaleć dziś wszyscy... Ona pierwsza czuje, że zrobi jakieś głupstwo... Ale trudno, wiosna: nie można być ciągle, jak ten rabin, Stefa.

. . . .

. . . .

Parę zwrotów w tył, hałaśliwe drżenie puszczanej w ruch maszyny, gwar wesołego grona, które rozsiadło się wygodnie na miękkich poduszkach.

Edward zajął miejsce przy palaczu. Stefa wyjrzała za nim przez otwarte okno.

Był zamyślony. Meta wołała, wskazując mu ławeczkę obok siebie: nie odwrócił głowy. Udał, że nie słyszy, czy nie słyszał naprawdę?...

Cicho, jak pchnięta szybko piłka gumowa, pomknął samochód.

Przygasły turkoty. Warszawa zapadała w krótki sen wiosennej nocy, gdy Stefa odeszła od okna.

Trzeba było przygotować się do zajęć dnia następnego. Przedewszystkiem — ten odczyt... jutro, już jutro...

Gdyby nie Edward, byłaby zapomniała...

Chodząc po pokoju, zaczęła powtarzać słowa wstępu.

Miała mówić z pamięci. Pierwszy raz stanie przed tłumem obcych ludzi. Dotąd... witała z katedry tylko swoich...

Na granitowych słupach ze szkła i z żelaza majaczyły różową plamą wielkie afisze:

„Kultura miłości"—odczyt Stefanii Gintowtówny...

O $7^1/_2$ już sala zaczęła wypełniać się dziwną publiką: brylanty, strusie pióra, Worth i Herse w pierwszych rzędach; kurtki wytarte, koszlawe buty, łatane spodnie w ostatnich, za białemi kolumnami okrągłej wnęki, gdzie kwadrans przed ósmą już zapanował tłok i ścisk, jak na premierze iluzjonowej sensacyi.

Turban z białą rajską egretą, lustrując salę, nachylił się do szwoleżera z modnej pracowni byłej malarki, która, układając fasony, na gło-

wach klientek, śliczna, jak kasztelanka na białym koniu z muzycznej wizyi Boardsley'a, ściągała tłumy.

— Regardez, jaki dziki wygląd ma sala: widzi pani tych oberwusów tam w głębi? — No, a tu bliżej, koło ostatnich drzwi, same szwaczki: kilka moich znajomych od Hersego i Lucyny... reszta ich towarzyszki... zaraz poznać... Skąd się to wzięło?...

Szwoleżer wykręcił się w tył i podniósł rączkę szyldkretowych binokli do oczów.

— Comment, pani nie wie que c'est la compagnie permanente de M-lle Stéphanie? — Przecież ona nigdzie nie bywa z rodzicami, raczej — z matką, bo ojciec taki sam dziwak, jak ona i podobno dopomaga jej w tem, co oni nazywają „robotą"... Sam kiedyś... słyszałam to... vous savez... od papy Łąckiego, który wie wszystko... awanturował się, jak ona teraz... No, ale wyleczyła go żona... Zakochał się... trzeba było rzucić wszystko... Maintenant c'est sa fille qui lui rend le passé...

— Ta brzydka... Podobno nikt by nie poznał, że to siostra Mety i Ali...

— Miała konkurenta, jakiegoś studenta, kolegę ze Szwajcaryi. O, ten, zdaje się; tam pod pierwszem oknem z prawej strony... przystojny chłopiec i... pas mal... Ale go jej odbiła Meta... Wszędzie z nim teraz... Stara Gintowtowa tryumfuje, bo jej pilno wydać córki za mąż, a tej

najstarszej nie lubi... Wyobrażam sobie, jakie tam miłe scenki domowe...

Fala turbanów, budek bretońskich, kołpaków małoruskich, czepków starożydowskich i starowłoskich, wreszcie nie wychodzących z mody nigdy Rembrandtów i malowniczych Gainsborough poruszyła się w pierwszym rzędzie krzeseł, jak za nagłym podmuchem.

Od strony drzwi głównych zaszumiało: z szelestem i rozgwarem powitań weszły Meta i Ala w wielkich kapeluszach wiosennych, białe, jak dwa motyle; za niemi matka — na czarno, bo... łatwiej ukryć się i zniknąć w tłumie, gdyby to półdyablę weneckie, Stefa, naplotła jakich bzdurstw niepotrzebnych.

Dwa kostyumy od Hersego i jeden z maison Olszewski cofnęły się, ustępując miejsca rodzinie.

Chwila ceremonii; nareszcie znalazły się krzesła dla wszystkich.

— A pan dyrektor?...

— On?... Gdzieżby, jeżeli nie ze swoją pierworodną, tam zapewne, w pokojach dla prelegentów?... Wymknęli się z domu tak, że nikt ich nie widział...

Pani dyrektorowa odwróciła głowę nieznacznie, regestrując, czy wszyscy znajomi stawili się w komplecie?

Przegląd wypadł pomyślnie. Kilkadziesiąt ukłonów, kiwania chusteczkami, reticulami, pió-

ropuszami, pleureusami szwoleżerów, kitami turbanów.

Pierwsze wrażenie dobre. Kradzione, ukośne spojrzenia nie dotarły do galeryi oberwusów.

Nicby nie było zmąciło nastroju, gdyby nie trochę głupich wspomnień dnia wczorajszego.

— Edouard est-il là?—zapytała cicho Mety.

Biały motyl z ponsowemi różami przy rondach kapelusza, nie bacząc na konwenans, wstał i rozejrzał się po sali.

Spojrzenia padły na pierwsze okno w prawej ścianie.

Oparty o nie młody człowiek skłonił się chłodno i stał dalej spokojnie.

— Laissez donc, Meta. Asseyez-vous. Nie trzeba zwracać na siebie uwagi...

Pani dyrektorowa mówiła napozór obojętnie, głos jej jednak drżał i ręka, podtrzymująca szyldkretową osadę binokli, osunęła się na kolana w bezradnem omdleniu.

Meta siadła, zmarszczywszy brwi gniewnie i szarpnąwszy chwasty białego japońskiego paska z tasiemek.

Kilka obrazów wieczora, któryby wolała wykreślić z pamięci na zawsze, jak rzucone na ekran odbicia klisz poszczerbionych, przesunęły się przez mózg jej, odurzony galopadą wspomnień.

Szalała wczoraj. Szaleli wszyscy. On tylko, Edward, był przytomny. Nie pił prawie wcale,

choć sama nalewała mu wina w kieliszki i trącała się z nim ciągle.

Panowie zamawiali szampana butelkę po butelce. Kręciło się w głowie nawet najsędziwszej z matron, p. Starskiej.

Ala, jak zawsze w podchmieleniu, zaczęła rachować palce i nie mogła się doliczyć, bo jeden ciągle gdzieś ginął, a reszta rosła, rosła i sięgała prawie do ziemi.

— Podnieś je pan! — kazała młodemu anglikowi, którego pierwszy raz do towarzystwa wprowadzili Łąccy.

Anglik niby szukał, szukał, aż wreszcie schwycił ją za nogę.

Podniósł się krzyk. Matka wyprowadziła Alę, a ona, Meta, wzięła Edwarda pod rękę.

Pamięta dobrze: kręciło jej się w głowie. W oczach, jak pajace, skakały płomienie świeczników, desenie firanek, główki butelek, kwadraty posadzki.

Miała ogromną chęć oprzeć czoło o ramię Edwarda, ale się wstrzymała.

Chodzili po sali jadalnej, z której uprzątano stoły.

W głębi ogrodu zapalono chińskie latarnie, które kiwały się na drzewach i najwyraźniej gadały z sobą: taki szum wprost od nich nacierał na Metę, ogłuszał ją, przewalał się w mózgu tępym, bezładnym chaosem.

— Trochę powietrza!...

Wyszli z sali i boczną ścieżką skierowali się ku głównej alei, gdzie kończono zawieszanie latarni.

— Co pan dziś taki zły? — Dlaczego się pan nie bawi?... Zapomniał pan, czego uczę ciągle: że kaprysy trzeba chować ze starą marynarką w szafie, a z butonierką przy fraku nadziewać na siebie dobry humor, uprzejmość i grzeczność dla dam, szczególniej dla panny Mety, swojej nauczycielki, którą pan trochę lubi, prawda?...

Przechyliła głowę w tył.

Turban z loków opadł na czarne sukno fraka. Nie mogła go dźwignąć.

— Doprowadź mię pan do ławki: niedobrze mi...

Usiedli w najciemniejszym kącie ogrodu.

Chłód nocy orzeźwiał ją powoli. Nie odrywając głowy od ramienia Edwarda, mówiła:

— Pan taki obojętny dzisiaj... zupełnie jak nie ten... A przecież... zapowiadałam... dziś... pierwsza noc majowa... trzeba szaleć...

Wyciągnęła usta, jak gdyby chciała dotknąć niemi miękkich, purpurowych warg, zawieszonych tuż, tuż nad nią, w smudze światła, przedzierającego się przez gęstwinę drzew.

Powiało od niej zmieszaną wonią likierów, czarnej kawy, szampana.

Edward otrząsnął się z niesmakiem i deli-

katnie, ostrożnie zsunąwszy głowę jej z ramienia swego, oparł ją o ścianę altany.

— Pani powinna się trochę przespać...

Krew uderzyła jej do mózgu. Otrzeźwiała na chwilę, jakby pod nagłem cięciem szpicruty.

— Chodźmy ztąd!

Podał jej ramię, które odtrąciła szorstko.

Wstała, ale — kroków swoich niepewna — z głową, którą coś nieprzeparcie ciągnęło to w tył, to naprzód, — oparła się na nim znowu.

— Oprowadź mię pan po ogrodzie, dopóki nie przestanę się dusić... Gorąco tu wszędzie...

Weszli w boczne, ciemniejsze, ale też gdzie niegdzie girlandami lampionów oświetlone aleje.

— Wiem już... Teraz doskonale zdaję sobie sprawę z tych dzisiejszych niehumorów. Weszłam nie w porę, wołając pana do samochodu. Całowaliście się z Stefą... I ona i pan mieliście miny, jak przyłapani... O, przecież nie powinnam była wątpić ani na chwilę, że przez trzy lata ciągłej niby nauki razem, pacierzy się nie mówiło... Ona, ten rabin... Takim świętościom najłatwiej ubrać się w płaszczyk braterstwa... Dobrze śmiejemy się z tego: ja z matką i Alą... Tylko ojciec jeden wierzy, bo dla niego nic niema ponad Stefę... Jutro pewnie będzie perorowała, jak kwakier o tak zwanej „czystości uczuć“... a dziś... przepowiadała sobie z kolegą...

Co ją podkusiło do tej nagłej napaści? —

Nie zdawała sobie sprawy ani nazajutrz, ani w godzinę potem. Słowa z jakąś dziką pasyą cisnęły się jej na usta, zupełnie, jakby ktoś rzucał je z zewnątrz, jakby podpełzały ku niej z tym głuchym szumem, który walił zewsząd: od strony drewnianego szałasu, z głębi parku, z paszczy wiosennej nocy, wreszcie od tych plam, błyszczących w powietrzu, dziwacznie rozdwojonych, potrojonych w oczach, to znowu zlanych w jedno jakieś koło olbrzymie, wirujące w skroniach, jak skrzydła wiatraka.

— Tak, tak... już teraz wiem wszystko... No, niech pan powie, ile razy pocałowaliście się dziś, zanim ja weszłam?... Dużo, naturalnie, bo był nastrój... Powiedz pan... ja chcę, ja muszę to usłyszeć od pana... Ja pana nie puszczę, jeżeli dziś, teraz zaraz nie dowiem się całej prawdy...

Tupnęła nogą i stanęła przed festonem lampionów, który wydał jej się wężem ognistym, wyciągającym ku niej żądła syczące.

Odpędzała go prawą ręką, lewą, jak kleszczami, wpiła się w ramię Edwarda i, tupiąc coraz gwałtowniej, powtarzała przez nos, z gardła, przewlekle:

— Powiedz pan, ja muszę wiedzieć...

Milczał. Powoli, ostrożnie wyprowadził ją z ogrodu i bocznem wejściem dotarł do buduaru, gdzie Gintowtowa trzeźwiła pijaną Alę.

— Panna Meta musi się przespać... zostawiam ją tutaj...

Skłonił się, wyszedł. Co zrobił z sobą? Nie wiedziano. Gdy po przetańczonej nocy towarzystwo już białym rankiem wracało do miasta, nie było go. Służba w szatni oznajmiła, że wkrótce po kolacyi zabrał kapelusz, palto, wybiegł z ogrodu i nie pokazał się więcej.

Pieszo wolał iść do miasta, aniżeli zostać z nimi.

Anglik też uciekł. Skandal! Żeby tylko nie doszło do ojca!...

Meta, Ala i matka, wszedłszy na salę odczytową i zobaczywszy całe prawie towarzystwo, zebrane w komplecie, odetchnęły.

Gdyby tylko ten chłystek krakowski choć dla formy przystąpił i przywitał się z niemi!

Ale nie. Stał pod oknem, jak wlepiony w ścianę. Zapomniał o wskazówkach etykiety. Przyszedł na odczyt p. Gintowtówny, córki dyrektora, jak na koleżeńskie zebranie: w codziennej marynarce. Włosy miał w nieładzie; rozgarniał je palcami co chwila i nie spuszczał oczów z bocznych drzwi od strony poczekalni prelegentów.

Drgnął na odgłos drugiego dzwonka, gdy lornetki, binokle, budki bretońskie, kołpaki, turbany, szwoleżery zwróciły się w kierunku estrady.

Stefa wbiegła szybko: wysoka, szczupła, — w gładkiej czarnej sukni ze spiętym na karku

węzłem grubych warkoczy i odsłoniętem jasnem czołem.

— Mais elle n'est pas laide celle — lá... Rasowa... ta suchość nerwowa, jak w portretach Matejki... Głowa... coś ze ś-tej Teresy Berniniego... tylko bez tego barokowego wygięcia... Vous rappelez vous: ten malarz, rzeźbiarz, budowniczy, 16-go wieku, początek 17-go. Zbarokował cały Rzym... Jako typ ciekawa... Nos za duży, ale — vous savez — w tem jest siła, charakter... Malowałabym ją, gdyby mi chciała pozować... — szepnął pochylony nad Lady Gainsborough arystokratyczno-plutokratyczny Rembrandt: młoda, świeżo bogatemu kupcowi poślubiona hrabianka, zapalona miłośniczka sztuk plastycznych.

— Wygląda na teozofkę: tak sobie wyobrażam Annie Besant...—rzuciła Lady Gainsborough.

Słowa jej zagłuszył grzmot oklasków z głębi sali, od strony wnęki za filarami, gdzie las rąk podniósł się w górę.

Trzeci dzwonek przerwał salvę powitalną. Zamknięto wszystkie drzwi. Na sali rozległ się czysty, dźwięczny, silny głos kobiecy.

Prelegentka zaznaczyła w słowie wstępnem, że... z niezmierzonych obszarów uczuć—wybrała jeden dział tylko: erotyki—dlatego, że przeważył dotąd wszystkie szale życia naszego i, mogąc być kwiatem upojenia, wrzyna się w nas biczem Edypowego przekleństwa.

Skreśliła miłość — popęd zwierzący w cza-

sach pierwotnych; rzuciła obraz zmysłowej Grecyi i klątwy miłości w średniowieczu, rozsnuła pieśń trubadurów o liliach i różach białych marzeń, modrej tęsknoty, które Boccacio powlókł przed bachanckie groty Wenery.

Zmieniały się rytmy, nastroje.

„Miłość to wola gatunku!...—krzyknął Schoppenhauer, „Miłość to cud cywilizacyi“ — odpowiedział Stendhal.

Te dwie tezy, jak misterny kontrapunkt, idą z nami przez labirynt kategoryi i przesłanek, wymijając się, krzyżując, nacierając na siebie.

W zamęcie pojęć bierze się wolną miłość za liczman ogólnego wyzwolenia. A miłość wtedy jest wolną, gdy — złagodzony kulturą wieków krzyk zmysłów poddaje się tresurze górnych nakazów, które nad purpurą żądz rozpinają błękitne pałace czystych pragnień i w pocałunku łączą nie poryw orgiastyczny, ale duszę z duszą...

Myśl zabija zmysły. Kochać — znaczy tęsknić. My wszyscy tęsknimy, ale w pogoni za ukojeniem tęsknoty rzucamy się w pierwsze lepsze objęcia, nie czekając na godzinę cudu, która wybija miłością—objawieniem.

Zmęczone fałszywem całowaniem usta już tylko mamy dla niej i starganego męką gonitwy ducha...

Nikt nie czeka chwili godowej: ludzkość w obłędzie zmysłowym bierze liczmany za prawdę.

A pocałunek to świętość: usta, gdy spoczną na ustach, przysięgają sobie wieczność...

Rozdajemy całowanie, jak miedziaki i nie wiemy, że w każdem fałszywem dotknięciu warg naszych płacze kwiat białej tęsknoty...

W rękach kobiet święto białych kwiatów: wielki dzwon odrodzenia...

W każdej piersi dziewiczej drzemie praca wieków. Gdy drżąca wstydem dziewczyna szuka zasłony przed okiem żądz chciwych, — mur powściągliwości matek, babek, prababek, wielki sprzymierzeniec, ściele się przed nią.

Nie trzeba go rozwalać. Niech stoi: straż odwieczna, w łzawnicy krwawych samowyrzeczeń wykuta, ale biała i czysta. Niech nie podnoszą się przeciwko niej młoty i topory. Lilie i róże wykwitną na szańcach, rozsrebrzą się rosą, rozmodlą wonią, aż przyjdzie chwila, gdy w miłość-cud uwierzą wszyscy; gdy z białych strażnic podadzą sobie ręce: mężczyzna i kobieta, wyzbyci pogoni za pierwszym lepszym dreszczem, on i ona wskazani sobie, czekający na siebie, dwa serca czyste...

Ale... Helois „kobieta wieczna“, strażniczka praw, pilnująca, aby „zamki były twarde na tych granicach, które duch stanowi“, — powinna wychować mężczyznę.

„Czystość okazuje nam się jedną z sił, najpotężniej pracującą nad wykupieniem ducha

z globowej niewoli" — mówi w liście do Rembowskiego Słowacki.

I daje cudne jej wcielenia: Lillę Wenedę, Beatrix, Alinę, wojewodzinę Amelię: białe pola róż, lilii, gołębice... Na kogo spojrzą, tego wyzwalają ze szponów chuci.

Ale... nie mają pancerzy te wiotkie mimozy i bluszcze. Bierna siła wewnętrzna nie wywołuje aktów czynu, nie rzuca w tłum z ewangelią dobrej nowiny.

Na lwice o sercach gołębich czeka ludzkość, na Walkirye-odkupicielki, snem w świętych płomieniach oczyszczone.

Lilla Weneda z mieczem Grażyny, Lilla z prometeizmem Rozy Wenedy, Lilla-Brunhilda— to przyszłość nasza!...

— — — — — — — — — — — — — —

Skończyła. Głos jej drżał jeszcze pod sklepieniem białej sali, w dyskretnych renesansowych girlandach nad kolumnami, w stiukach marmurowych ścian, w kryształach żyrandoli, gdy zerwał się huragan oklasków. Nie było rąk, którychby nie podniosła nagła potrzeba uderzenia w zachwyt. Z pierwszych rzędów padły odpięte od staników fijołki i róże. Huczało, grzmiało w głębi, za kolumnami, gdzie na wiwat powiewał las czapek. Odsuwano krzesła z hała-

sem i spieszono do estrady, żeby zajrzeć w oczy mówczyni.

Ale ona, skłoniwszy się dwukrotnie, zbiegła szybko i, wymijając mur rąk, wyciągniętych w hołdzie powitalnym, zginęła za osłoną poczekalni.

Grupa ludzi podążyła za nią: kilka pań z prowincyi i z kresów, które pragnęły powtórzenia odczytu w swoich środowiskach, paru reporterów, zamierzających dać obszerniejsze streszczenia i reflektujących na rękopis, którego prelegentka nie miała z sobą, główne punkty przemówienia bowiem zanotowała sobie tylko na kartce podręcznego notesu; trzech sprawozdawców pism illustrowanych z prośbą o „portrecik" do najbliższego numeru, wreszcie rodzina i znajomi.

Oczy Stefy oglądały się za kimś przy każdem uchyleniu drzwi. Odpowiadała na pytania, przyjmowała życzenia, jak automat. Pilno jej było wyrwać się z tej całej ciżby.

— Chodźmy już, ojcze!—szepnęła chwytając ramię Gintowta.

— Chwilę jeszcze, dziecko! Nie można tak zaraz—odpowiedział, wypatrując też kogoś.

Matka złożyła ostentacyjny pocałunek na czole jej.

— Dałaś mi chwilę prawdziwej niespodzianki, nie myślałam, żebyś była takich przekonań...

I, podniósłszy binokle do oczów, kradzionym wzrokiem szukała kogoś w natłoczonym pokoju.

Meta, niespokojna, nerwowa, odwracająca głowę co chwila za falą wychodząch przez główne drzwi tłumów, wpadła, wołając:

— Naperorowałaś się!... Wiedziałam, że tak będzie, ale myślałam, że nudniej. Od biedy można było wysłuchać. Ale, wiesz? — Powinnabyś objąć naczelne kierownictwo Revue bleue... obsypanoby cię złotem... takich tam trzeba...

Ala uścisnęła ją, milcząc, chmurna po dniu wczorajszym.

Ciemno już było na sali, gdy schodzili wszyscy.

— Może dziś przynajmniej pojedziecie z nami razem do domu? — zwróciła się Gintowtowa do męża i córki.

Stefa spojrzała na ojca.

— Mam ochotę iść pieszo: nie poszedłbyś ze mną?

Skinął głową potakująco.

Powóz ruszył, unosząc białe sylwetki Mety, Ali i ciemną matki, gdy, oparta na ojcu, Stefa skręciła w szeroką boczną ulicę.

— Czy wolno towarzyszyć?

Głos Edwarda. Stanęli oboje.

— Byłeś... byliście na odczycie, kolego?

Uścisnął jej rękę.

— Przypuszczasz, że mógłbym nie być?

Chwilę szli, milcząc. Nareszcie on:

— Jutro wyjeżdżam... Chciałbym pomówić z tobą... Nie możnaby teraz... chwilę?...

Puściła ramię ojca.

— Pozwól, staruszku, zaraz wrócę do ciebie...

Gintowt przystanął, zapalił cygaro i poszedł wolno za nimi.

Ulice tonęły w blaskach i cieniach księżyca, w upojnym śnie nocy.

Coś grało zdaleka. Przez pół otwarte okna szarej przykucniętej kamienicy wlókł się skargą suchotniczą zduszony nokturn. A siedmiopiętrowy biały kolos z przeciwka słuchał miękkiem wygięciem półkolistyk wnęk i gładkich równych pionów frontonu, kolumienkami balkonów i ostrołukami zwiewnych wieżyczek; słuchał i milczał, bo... muzyka to złuda, a w głębi jego samego, za paszczami oświetlonych i ciemnych okien, buchało życie, działy się rzeczy, których nie wydzwonią żadne kombinacye dźwięków.

Minęli plac za skwerem, pełnym bzów kwitnących.

— Stefa, co ty myślisz o mnie?... Ja... mnie... wstyd ciebie... Teraz dopiero widzę, czem ty dla mnie... Zmarniałbym, gdybyś odeszła...

Spojrzała na niego bez wyrzutu.

W piersiach jej rozlała się dziwna słodycz i jakieś kojące, dobrotliwe ciepło. Pełna była rozpalonych wewnątrz siebie ogników, którymi

wibrował mózg i każda fibra nerwów. Zdawało jej się, że jak Brunhilda, jest wśród płomieni· Tylko, córka bogów, Walkirya, spała w świętym ogniu dokoła siebie, a ona idzie ze zniczem w sobie.

Była, jak człowiek, wyrzucony z ciemnicy nagle na blask biały. Drżał wzrok od światła, płonęła głowa, wydłużał się, rósł, potężniał i wyolbrzymiał cień w srebrno-złotej smudze, ale dusza, jak przedtem, odprawiała misterya. Jakiś chochlik płomienny zajrzał w nią i rozświetlił śmiechem. Scichły płacze wczorajsze, ściekła piołunowa gorycz, ale został podświadomy odruch, trzymający wolę w napięciu.

Chciała rozdzwonić ciszę gędźbą radości swojej, lecz... skurczyła się pierś wezbrana; padł na usta blady odblask rozpromienień wewnętrznych. Uśmiechnęła się dobrym, pobłażliwym rozchyleniem warg.

— Wracacie do mnie?... A ja myślałam, że nie przyjdziecie już nigdy?...

— Stefa, ty nawet mówić do mnie nie chcesz, jak dawniej?...

Podniosła wielkie, pytające oczy, w których przełamał się srebrny smętek księżyca i jej własne dociekliwe błyski.

— Wiem, masz prawo odepchnąć mnie... Byłem szalony... zatraciłem siebie... odurzyło mnie to wszystko nowe: ptasi szczebiot, ptasia pusta rozkosz życia, ptasia pusta swawola... za-

raziłem się nią... Te dni bez haseł, z jedną myślą: wyciągnięcia z każdej godziny możliwej narkozy dla ogłupienia duszy... Nie miałem nigdy takich wrażeń: upiłem się niemi...

Wczoraj przyszło wytrzeźwienie: wiesz, u ciebie... w Arkadyi...

Było mi, jak w kościele... Czytałem i doskonale słyszałem głos swój, ale zdawało mi się, że słowa zamiast na zewnątrz, padają we mnie samego, na dno piersi, jak gdyby każde miało swój własny ciężar gatunkowy... A potem... rosło w nich coś, rozpierało skronie... Nasze wspomnienia: moje i twoje... nasza własność... to, co przeżyliśmy: ty we mnie, ja w tobie... czego nikt nigdy nie wydrze...

Kiedy kazałaś mi skończyć, byłem jeszcze cały we śnie tych naszych przeżyć...

I nie rozbudziłem się...

Przyszły później dzikie wrażenia. Wszyscy dokoła mnie pili. Ja... nie mogłem: stanęłaś przedemną, czułem ciebie wyraźnie... Wzbroniłaś...

Zapragnąłem być z tobą, w twoim cichym, białym pokoju, rzucić ci pęk kwiatów...

Uciekłem ztamtąd. Do świtu włóczyłem się po ulicach. Patrzyłem w niebo nad dachami i zdawało mi się, że ty w nie patrzysz także...

Przyszedłem pod twoje okna. Było ciemno: spałaś... Wróciłem do siebie i cały dzień myślałem o tej wieczornej chwili, kiedy cię zo-

baczę... Nie chciałem ci przeszkadzać przed odczytem...

Zatrzymał się, a potem nagle:

— Stefa, jedź ze mną!... Dlaczego to nie stało się dawniej?... Nie byłoby pomyłek... Ja... mnie... bez ciebie... wiesz chyba... wierzysz... źle... nie umiem żyć... Pojedziesz?... No, powiedz!...

Chwycił ją za rękę i obcisnął kleszczami obu swoich dłoni.

A w niej nareszcie rozkurczył się twardy pancerz woli, trzymającej na wodzy radość wewnętrzną.

Wybuchnęła głośnym śmiechem:

— Tak zaraz, bez namysłu?...

— Po co myśleć?... Weźmiemy ślub w pierwszym lepszym kościele i już potem chyba ty sama oderwiesz mnie od siebie... Ale... przecież... nie zechcesz... przecież... i ty będziesz wolała być razem...

Znowu głośny, jasny śmiech.

— Ojcze, wiesz, czego on chce?

Gintowt objął ich ciepłem spojrzeniem.

Przytuliła się do niego, oparła głowę na ramieniu jego.

— Chce porwać mnie, jak Sabinkę i wywieźć... zaraz... bez długich rozmyślań... nawet... bez pożegnania z tobą, staruszku!...

— A ty?...

— Ja... ja?...

Coś nią targnęło wewnętrznie. Śmiech, jak rozbity kryształ podniesionej do ust czary, osunął się z warg i, uciekając, zostawił po sobie na czole, w oczach mdłe zamyślenie, szarą, tępą troskę.

— Ja?...

Wyprostowała się.

Weszli w rozsrebrzone księżycem aleje, w powódź młodej, pękającej zieleni, w odurzającą woń świeżych pędów, przetwarzających się soków, fermentującego życia wiosny.

Maj!...

Ani drzewa nie pachniały tak nigdy, ani trawa nie perliła się taką szklącą, białą rosą, ani ziemia nie dyszała takiem upojnem, rwącem oczekiwaniem.

— Siądźmy tutaj!...

Wskazała skąpaną w blasku, pustą ławkę.

Zajęli ją.

Ludzi było mało: kilka par, zajętych sobą, kilku samotników, wpatrzonych w siebie. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

Stefa ściągnęła brwi i zacisnęła usta, jak zwykle przed aktem twardych, niezłomnych postanowień.

— Nie pojadę z tobą, Edwardzie!...

Głos jej przełamał się i zadrżał, ale — opanowany szybko, zaciążył nad słowami biczem wypracowanego wewnętrznie, bezspornego, dyskursywnego nakazu.

— Nie pojadę... t e r a z... Wiesz, nie szłam nigdy ani za swoim, ani za twoim kaprysem... Poczekaj... poczekajmy oboje...

Musisz zrobić z sobą długi, ważny porachunek... Szale twoje zachwiały się: sam bez obcej ręki przyprowadź je do równowagi. Sam— po miesiącach—powiedz sobie: „t a m t o, nie t o pomyłka... Ja... wiesz... przyjdę do ciebie: lepiej razem... druga dusza... Ale... nie złamię się bez ciebie...

Wszędzie trud swój powlokę... wszędzie namioty swoje rozstawię i zwołam tych, którzy mnie słuchać będą...

Twoje bratnie ręce byłyby ciepłą, dobrą podporą: dźwigalibyśmy—ty mnie, ja ciebie...

Ale stać trzeba mocno, bez pomyłek oboje... Ty wierzysz we mnie: ja muszę uwierzyć w ciebie...

Srebrne pyły welonem uśpionej duszy miasta kołysały się nad dachami, gdy przez senne, białe ulice wracali do domu.

— Pamiętasz noc księżycową w Zurychu nad jeziorem, gdyśmy postanowili sobie chodzić do świtu, powtarzając głośno Słowackiego, co które umiało?... Gdyś ty mówił, ja zlepiałam w pamięci luźne wątki. Robiłeś to samo podczas mojego popisu. Nie wolno było przerywać pod karą franka na Bratnią pomoc...

— Tak... a po północy, kiedy mnie już zbrakło wierszy i błagałem cię, żeby wolno było

powtarzać od początku, — postawiłaś veto i musiałem zapłacić karę. Tyś zawsze była dla mnie bezlitosna, okrutna...

— I jestem, prawda?...

Objęła go długiem, serdecznem spojrzeniem, w którem przełamał się smutek pożegnania i radość promiennej, cichej obietnicy.

DWIE CHWILE

(Przed pomnikiem Mickiewicza).

I.

24/XII — 1898 *).

Szaro było. Ziemia jak gdyby zdrętwiała pod ciemno-popielatym kloszem chmurnego nieba. Znikąd światła. Beznadziejny smutek i jakaś martwa, skostniała troska w chłodnem spojrzeniu grudniowego ranka. Niby ruch, ale cicho na świecie, jakgdyby w ludziach, w oddechu ziemi i zjawie bytu, zamarła dusza.

Pędzą wtulone w ciepłe płaszcze automaty ludzkie. Pełno ich. Każdy chyłkiem czai się pod domami z ponurą rezygnacyą w oczach, z lękiem niepewności i oczekiwania w nerwowych, niespokojnych ruchach.

Zostać w domu nie można, bo rozsadziłby piersi niepokój: co będzie?... ciekawość: jak będzie?... i ta potężna, niepojęta, w żadne słowo

*) Data odsłonienia pomnika Mickiewicza.

nie dająca się ująć potrzeba uczestniczenia w wielkiem święcie.

Trzeba iść, choć od tygodnia z ust do ust szept upiorny:

— Nie wrócisz ztamtąd...

— Co mi tam!... Nie wrócę, ale... upiję się świętem!...

Gdzie ono?... Gdzie święto?... Powinna grać muzyka, a cisza w mieście jak na pogrzebie, beznadziejny smutek, jak na cmentarzysku...

. . . .

Od ulicy Berga już kordon; nie puszczają bez kartek, dających prawo przejścia.

Dziewiąta rano. Na placu wprost Trębackiej tłum cichy, posępny, skupiony. Gdzie spojrzeć— czarno, jak gdyby rozlało się morze żałoby. Ani jednej plamy jaśniejszej: wszędzie tło ponure, bólne. Jak gdyby ludzie i słońce zmówili się na jedno: na smutek chwili bez jutra...

Za szybami zamkniętych okien na piętrach kamienic milczące, stroskane twarze. Nikt nie mówi. Wszystkie oczy w jeden punkt wpatrzone: w oponę płótna szarego, z za której miał ukazać się wkrótce olbrzym śpiżowy, serce, co czuło i cierpiało za miljony...

Wielka uroczysta chwila. Pierwszy po latach oczekiwania hołd genjuszowi spętanego narodu; pierwsza pobudka do wybuchu uczuć, które przeszły szkołę milczenia.

Jak gdyby jedną duszę miał tłum. Nie chce pustą brawadą psuć nastroju żałoby. Tylko w cichem skupieniu mogą witać poetę bólu i męki swej ci, którzy związane mają usta; tylko niemym gestem, kornym pokłonem może oddać cześć olbrzymowi olbrzym, co czeka na pieśń wyzwolenia...

Przyjdzie czas: rozbrzmią hejnały...

. . . .

Jak gdyby jedną duszę miał tłum oniemiały, posępny, cichy w dzień wielkiego święta.

Zeszli się wszyscy. Morze głów na ulicach: martwa, spokojna fala, jak w dzień bez wiatru, jak w mglistą jutrznię, kiedy bez echa milknie kościelny dzwon.

Dziesiąta blizko. Już tylko chwila, a ze śpiżu na marmurowym cokóle opadnie zasłona i stanie nad miastem poeta.

Bez znaku, bez hasła, a jednak jak na komendę dźwigają się w górę oczy wszystkich i przywierają do czuba szarej opony, pod którą czeka na światło dnia dzieło twórcze...

Krótki niepokój. Dech zamiera w piersiach. Mgłą zachodzi wzrok.

Jedno szarpnięcie: opadają zasłony i jak cicha, od głębin swych poruszona fala, chyli się morze głów...

Wielkie, wielkie święto!... Nad miastem wzbił się orzeł; na marmurowym cokóle spoczęło

ukochanie narodu, widome wcielenie bólnej jego męki, bólnych ofiar, bólnej miłości, bólnej nadziei, bólnej wiary w przyszłe odrodzenie.

Jednak nie rozdzwoniły się dzwony; nie rozegrały hejnały; nie rozśpiewała się pierś ludu. Korne milczenie—hołd jedyny.

Stał tłum żałobny, skupiony: głowa przy głowie, ramię przy ramieniu, dłoń bólem zwarta, przy dłoni...

Na niebie grudniowem nie wstało słońce; chłodów wilgotnych nie rozwiał promień cieplejszy: pod płaszcze chmur, niby pod szary klosz zwątpienia, zaryła się ziemia... Znikąd światła: cicha żałoba zimowego ranka — jedyny wtór żałobnego święta...

II.

5/XI — 1905.

Szaro było, ale z za popielatych chmur majakiem słońca przeświecał perłowy brzask. Cisza w przestrzeni, cisza listopadowego ranka, w którym zamiera ptaków śpiew, a jednak, jak gdyby dreszcz szedł od łona ziemi aż do bladych obłoków; jak gdyby nowem tętnem rozwibrowało się życie, jak gdyby nowym tchem powiało od martwych ulic i szarych domów.

Coś dziwnego w powietrzu: zjawa bytu innego...

Pędzą ludzie, roztrącając się, nacierając na siebie, zatrzymując jedni drugich.

— Dokąd?...

— Tam, na plac, przed Mickiewicza...

— Ja też.

— Podobno... gotują się rzeczy straszne...

— To nic, to nic: trzeba iść...

Jakiś pęd szalony gna za tłumem tłum; jakaś niepojęta, nie dająca się ująć w formę wyrazów potrzeba ruchu, czynu, słowa, krzyku.

Umrzeć, ale stanąć tam, przed Mickiewiczem, gdzie będą wszyscy.

Na rogach ulic, na murach domów, na belkach rusztowań odezwy: „Spokoju!... Bądźmy rozważni; nie dajmy się wciągnąć w zasadzkę podstępu i zdrady!“

Noc i dzień cały poprzedni chodziły wieści: „będą pogromy...“

Słuchał naród gróźb dziwnych, ale — nie wyjrzało jeszcze z za chmur słońce niedzielnego ranka, gdy niby morze, gnane pełną piersią przypływu, rozlał się falą wezbraną po szarych, niespokojnych ulicach.

Aby upić się świętem...

Gdzie ono?

W piersiach, w duszy rozpętanego ludu, który—po latach milczenia—miał dziś przemówić.

Sunie morze ludzi. Przed Mickiewiczem mają się zejść wszyscy. Hołd poecie, a potem—*Święto pochodu...*

Już są dzieci z chorągwią szkoły polskiej. Są starsi z orlim sztandarem i z napisem: „Wolnemu ludowi polskiemu cześć!“

Od bernadynów płynie procesya kontuszowych dziewcząt z orłem na poduszce i na rozwianych skrzydłach chorągwi. Za nią inne i inne. Wreszcie szept:

— To oni!...

Od Fary pochód główny: czekają na niego wszyscy. Las cały sztandarów, herbów, chorągwi.

Idą. Jak wezbrana fala toczy się tłum.

Przed Mickiewiczem stoją chorągwie. Gdzie spojrzeć, morze głów i gra barw: amarant, czerwień, biel, drgające, jaskrawe plamy na tle perłowej jasności, którą za chwilę rozzłoci słoneczny blask.

W otwartych oknach, na strojnych balkonach barwny, podniecony tłum.

Wszystkie oczy płoną; wszystkie usta mówią: jeden radosny nadziei szmer...

Przed Mickiewiczem rozbrzmiała pieśń: błagalny ludu polskiego śpiew.

Wielka, święta chwila! Pierwszy po latach czterdziestu zbiorowy upojenia szał...

Jak gdyby jedną duszę miał tłum: jedną potężną piersią przemówiły piersi tysiące.

Przyszedł czas: witał olbrzyma-poetę naród-olbrzym, którego nie zmógł los...

Popłynął hejnał w przestworza; poruszyło się morze zwartych ramion i głów; pomknął po-

chód na miasto, niby wielki, rozkołysany przyziemny ptak; powiały sztandary, chorągwie: powiał nowy, silny dech!

Niczem wichry skalne, niczem poszum morski huczało zewsząd: z rojnych ulic, z otwartych okien, z serca wyzwolonego miasta.

Jak białe motyle, wiały chustki z balkonów; jak skrzydła amarantowych ptaków, kłaniały się chorągwie.

I chyba każdy kamień zrozumiał, czego chce naród i z czego się cieszy: że chce tej wolności, na którą czeka pół wieku, i cieszy się, że świt jej majaczy...

Płynął lud wężem przez miasto: zwarte, zorganizowane szeregi... Jak gdyby nie sam szedł każdy, tylko go coś niosło; jak gdyby — prócz swoich—stopy, ramiona, ręce tłumu miał, z którym w całość się zlał...

Od Mickiewicza wokół przez miasto długi korowód: myśl jedna, jedno uczucie, jedno pragnienie... wolności!...

Będzie wolność!...

Z za chmur perłowych wyjrzało słońce i rozlało się blaskiem nad morzem głów.

Salwa nadziei: po mrokach zwątpienia — pierwszy jasny dzień!...

Z MARTWYCH DNI

Piąta wybiła. Horski zerwał się i gwałtownie, drżącemi z pośpiechu rękami zaczął narzucać na siebie ubranie.

Dziesięć minut czasu zaledwie: nie zdąży dojść, spóźni się... pierwszy raz w życiu... A tu, jak na złość, może ktoś *ważny* przejeżdżać...

Ten bestya Antoni... żeby go licho!... Codzień przychodzi budzić go z punktualnością zegara... dziś... co mu się stało?...

Za chwilę dzwonek: ten cichszy, wewnętrzny... A potem—chrzęst tępy, zewnętrzny; podniesienie sygnału; pociąg wyrusza z najbliższej stacji...

Już miał na sobie ubranie. Włożył byle jak, aby prędzej. Szynel, czapka. Jakoś będzie.

Rozgarnąwszy brodę palcami, sięgnął do kieszeni mundura po grzebyk dla rozczesania resztek siwiejącej czupryny; wtem wzrok jego padł na okno, które zapomniał z wieczora zasłonić roletą.

Ciemno. Dworzec szczerzył czarną paszczę mroku i martwej ciszy. Ani jednego światła. Śnieg tylko suchy, twardy, od wielu dni nie zmiatany, bielał na dachu i słupach peronu, słał się wzdłuż toru kolejowego.

— Nie pozapalali latarni!... Do djabła, maku na sen zażyli wszyscy, czy co?...

Już miał wyjąć świstawkę, żeby gwizdnąć na stróża nocnego, który obchodził zabudowania kolejowe, i kazać mu zbudzić odźwiernych; wtem—przypomniał sobie:

— Kolej stoi; służba w bezrobociu; nawet ten najpokorniejszy z pokornych, najbojaźliwszy z bojaźliwych, nawet Wojciech Kaszubiński, stróż nocny, nie byłby podążył na jego wezwanie.

Cisza, mrok, pustka. On, Horski, obudził się przez nawyk.

Od lat 30-u nie chybił ani jednego pociągu, nie przespał ani jednego sygnału. Dziś, jak codzień, musiał wstać...

Co zrobi z resztą dnia, dłuższego od nocy?...

Nerwy jego trzymały się tylko w ciągłym napięciu roboczem. Tak przywykł od dzieciństwa... Nie mógł żyć bez pracy. Przestał myśleć o rzeczach po za służbą.

Niegdyś, przed laty, lubił wnikać w siebie, w zjawę bytu i jej dziwy, związane z zachłannym, jak labirynt, prawem przyczynowości, w którym szamoce się i gubi dociekliwość ludzka.

Ale... proletaryusz, skazany na zagładę mó-

żgu, Syzyf, wlokący kamień swój pod górę, żeby... kiedyś... rozbić o niego własną czaszkę, musiał wyzbyć się zbytkownych upodobań.

Przestał umieć myśleć. To, co na służbie, to były raczej odruchy refleksji, szybkie, mechaniczne kombinowanie nakazów i zestawianie spostrzeżeń we wnioski, zrodzone potrzebą chwili.

A teraz — godziny, dnie, kto wie? — może miesiące całe myślenia przed nim... Dłuższy od nocy dzień, w którym nudę karmić trzeba rozpamiętywaniem!...

Stał w oknie, patrząc na łany śniegu i pilnując się, żeby nie spojrzeć w czeluście mrocznego dworca, bo... jakby zaciśniętym kułakiem waliło go w pierś...

Oczy nie mogły znieść tego widoku, choć w duszy nieśmiało, lękliwie budził się nadziei brzask.

— Może to da górne jutro?...

Zegar wybił pół do szóstej. Mrok nie schodził. Gdzieś na widnokręgu zamajaczył płaską smugą ciemno-granatowy odblask, ale... głucha, czarna noc listopadowa trwała.

— Możeby spróbować zasnąć jeszcze?...

Horski odwrócił się od okna i cicho, na palcach, żeby nie budzić śpiącej w tym samym pokoju żony, podszedł do łóżka, rzucił się na nie.

Zwarł powieki, ale sen nie wracał.

Jak widmo, stała przed oczami czarna pasz-

cza opustoszałego dworca i dreszcz jakiejś strasznej, niepojętej grozy wwiercał się w mózg.

Kolej stoi... Chwilami sądził, że myli go wzrok, słuch, świadomość.

Coś, co w najśmielszych przypuszczeniach wydawało się niepodobieństwem, biło wzrok istotą najoczywistszej zjawy.

Kolej stoi: niema siły, niema nakazu, któryby ją puścił w ruch... Bezwładni byli ci, których ślepo słuchano dotąd...

On... 30 lat wydawał rozkazy...

Nagle, któregoś ranka, czarne kadłuby maszyn zostały w remizach; zwrotniczowie poschodzili ze zwrotnic; palacze pokryli się po kątach. Nastała cisza i—ta głucha, otwarta paszcza mroku!...

A w jego mózgu zaczęło się szaleństwo.

Groza, strach; nadzieja, oczekiwanie.

Będzie co z tego?—Zaważy na szalach losu ten dziwny, pierwszy w dziejach świata bunt?

Cud!... Jedna wola w woli miljonów, jeden dech w tchu wszystkich!

Czaszkę rozsadzało pojęcie ogromu: drobne strumienie chceń pojedyńczych, zlanych w jedno olbrzymie łożysko czynu!...

Nie ogarnąć go ciasnym wyobrażeniem...

Horskiemu zdawało się, że zdrobniał, zmalał, odkąd zajrzał w twarz tej potędze zbiorowej woli.

Na przestrzeni tysiąca mil, wszędzie jedno: stanęła karmicielka—robota...

Ciężki, zaspany, brudno szary zimowy świt zaglądał w okna, gdy Horski próżno usiłował zasnąć.

Od szalejących myśli pękały skronie, a nie było aktu woli, któryby mógł je powstrzymać.

Widniało już dobrze; w domu rozpoczął się ruch: żona, syn, córki wstawały, gdy ogarnął go wreszcie sen zachłanny.

Spał do południa. W sąsiednim pokoju nakrywano do obiadu; brzęknęły talerze, łyżki, szklanki.

Horski zerwał się. Usłyszał najwyraźniej dzwonek.

— Pociąg zagraniczny!... Przetarł oczy.

Znowu pośpiech; znowu zaklęcia na Antoniego szwajcara, który nie przyszedł go obudzić i—znowu spojrzenie na pusty dworzec, a z nim tępa, na poły bolesna, na poły nadzieją brzemienna świadomość:

— Kolej stoi...

Wezwano go na obiad. Dzieci już siedziały: syn i dwie dorosłe córki. Matka, rozlewając zupę, wzdychała:

— Co będzie?... Czy to się zda na co?... Tyle ofiar!... Nie lepiej było siedzieć i... czekać?... Samo by przyszło, co przyjść miało...

Jakieś posępne, złe, gorzkie spojrzenie sy-

na. Odsunął talerz. Nie głodny; nie chce jeść; nasycił się chwilą, tą... teraz... ostatnią...

Matka z błagalnym giestem spojrzała na niego.

Nie widział: spuścił oczy, skrzyżował ręce na piersiach, zaciął się w głuchym dławiącym milczeniu.

Dech nudy, troski, przymusu powiał na wszystkich.

Rodzina. Ojciec gnie kark w jarzmie, matka gubi ręce, żeby ją wykarmić; krew z krwi, ciało z ciała, a... siedzą obok siebie, jak obcy...

Cały rok tych troje na nauce, za domem; w wakacje tylko i teraz — w bezrobocie — przy jednym stole, razem...

Czasami rozmawia się; najczęściej jednak zgrzyt nieporozumienia, jak niesforny ton rozstrojonych skrzypiec, pada między nich. Dziewczęta po ostatniej potrawie dają sobie znak oczami i biegną coprędzej do pokoju na górę, zkąd rozlega się śmiech wyswobodzenia. Przy rodzicach nie umieją, nie mogą: coś dławi za gardło.

Syn, student, milczy. Ruch ramion, ironja na ustach, szarpnięcie wąsa... Nie może słuchać biadania matki.

A ojciec, ten muł roboczy, okaz zaciekłej furji pracy organicznej z przed lat 30-u, przechowany najdoskonalej, jak pszczoła w wosku!... Co ich może łączyć?... Nazwisko?

To, wspólne z nim, ma tylko tu, dla domu; inne przywarło do niego... Słyszy nieraz, jak mówią o nim, nie wiedząc, że on tuż, tuż...

Najsłabszym drgnieniem ust nie zdradzi tajemnicy; marszczy brwi tylko, gdy gromy padają na znienawidzonego trybuna, młodego podobno, a który w wichrzycielstwie swem przeszedł wszystkich...

Nigdy między nim a ojcem nie było dłuższej rozmowy. Sprawy pieniężne załatwiało się listownie. Troska o odzież i stancję wygodną spoczywała na głowie matki.

W ostatnich latach nawet tym nie pozwalał jej się zajmować. Nie zostawiał adresu. Mieszkał z kolegami: to powinno było wystarczyć rodzicom.

Na ręce sióstr polecił przesyłać zapomogę miesięczną; sam zgłaszał się po nią, wpadając na chwilę, między jedną lekcją a drugą.

Nie patrzył nigdy, co wsuwano mu w rękę. Kiwał głową na powitanie, zapominał najczęściej kiwnąć na pożegnanie. Odchodził, nie wiedząc, która z sióstr rzuciła mu steryotypowe:

— Jak się masz, „Janku?... Czemu nigdy dłużej nie posiedzisz z nami?..."

On... siedzieć z niemi!... Makolągwy!... Jak gdyby był czas na świergot rodzinny!... Tylu ludzi czeka na niego, a z taką trudnością, chyłkiem, trzeba przekradać się do nich!... Każdy co

noc gdzieindziej; każdy, choć ma własny barłog, bez dachu!...

Przyszła chwila wielkiego wyczerpania i niepokoju. Towarzysze kazali mu wyjechać. Któregoś szarego jesiennego ranka Janek zjawił się na stacji przed ojcem, który przyjmował pociąg.

Kolej stanęła: nie mógł wracać i oto codzień prawie—rano, w południe, wieczorem zasiada ze wszystkimi przy okrągłym stole rodzinnym.

Czasami miejsce jego puste: wraca późnym wieczorem dopiero, zabłocony, głodny...

Nikt nie śmie pytać, gdzie był?... co robił?... Matka przeszywa go pełnym niepokoju wzrokiem; siostry boją się patrzeć: coś murem stanęło między nim a niemi... Ojciec — milczy, jak zawsze.

Z roboczą swoją brygadą tylko umie mówić ten... organicznik... z przed lat 30-tu.

Dom, rodzina wprawiają go w kłopot. I oto teraz... godzinami musi być razem...

Dwa tygodnie już te długie, milczące obiady, te kolacje, do których każdy szedł, jak na spełnienie ciężkiej powinności...

* * *

— Wychodzisz? — spytała żona Horskiego, gdy po ostatniej łyżce czarnej kawy wstał i, zapaliwszy cygaro, zwrócił się w stronę przedpokoju.

Skinął głową. Wciągając futro na siebie, rzucił:

— Wrócę za parę godzin. Chcę się przejść. Radzę wam, zróbcie to samo... Dzień śliczny...

Zatrzasnął drzwi za sobą.

Przed domem, z przyzwyczajenia, chciał skręcić na prawo, w stronę dworca, ale otrząsnął się: ta martwa, pusta czeluść...

Wiedział: w bufecie raut. Poczta konna dowiozła rano trochę gazet. Z piwnicy wytoczono resztki koniaków i likierów. Kto żył, tłoczył się w dużej sali i mniejszych, bocznych. Grano w karty, gadano grupami, ziewano po kątach. Kiedy niekiedy zrywały się głosy. Ktoś pierwszy wołał:

— Kłamstwo!... Znamy takie obietnice!... Nie pierwszy i nie ostatni raz... Choćby 48-y rok... Wszystko już było... Cudza intryga... na zniszczenie kraju... albo... zabawka wartogłowów, jeżeli nie... zbrodniarzy...

A wtedy burza protestów z jednej strony, potakiwania z drugiej.

— Racja!... W górę go!...

— Huligan!.. Szpicel!.. Na latarnię!.. Hańba!..

— Niech gada!... Dobrze ma w pysku!...

Chór pomięszanych krzyków przycichał, ile kroć z daleka przemknął ktoś obcy.

Snuły się jakieś nieznane postacie: zaskoczeni strajkiem podróżni, nadsłuchujący z godziny na godzinę sygnału:

— Kolej rusza!...

Kto ich wie, co za jedni?

Część najzamożniejszych końmi przedarła się do Prus lub do Krakowa. Jakaś czwórka samochodem podążyła w świat. Reszta, wałęsając się po zadymionych, brudnych salach dworca, z nudą cierpkiego zniechęcenia wyczekiwała zakończenia strajku.

W czyichś rękach zaszeleściała gazeta. Natychmiast tłum dokoła.

— Co nowego?... Co nowego?... Mów pan!... Czytaj pan!...

Właściciel drukowanego świstka musiał wchodzić na stół i otaczać się murem ramion, żeby mu nie wyszarpano z rąk drogocennej bibuły.

Sceny takie powtarzały się codzień. Horski znał je; wiedział, co po czem nastąpi.

Ilekroć pojawił się na dworcu czy w bufecie, w tej chwili obstępowano go zewsząd.

— Panie naczelniku, co słychać?... Kiedy wreszcie?... Pan musi wiedzieć przecież: kto jeżeli nie pan?...

Szarpano go, popychano. Wydzierał się przemocą i uciekał, dokąd oczy poniosły.

Od paru dni przestał chodzić na stację. I dziś bocznemi drogami wymknął się w stronę rzeki.

Czuł potrzebę ruchu. Nerwy rozpętane, nie dawały mu chwili spokoju. Czegoś chciał, oglądał się za czymś, a nie umiał sformułować pragnień i żądań swoich. Każde tętno krwi czuł w skroniach. Gorączkowy, szybki oddech podnosił mu

piersi. Nogi czasami takie ociężałe, dziś niosły go same prawie.

Szedł szybko. Mijając ogród, który z kilku posianych przed laty 30-u grządek kwiatowych rozrósł się linjami szpalerów i cienistych alei, klombami rzadkich krzewów i szamaragdem trawników, śpiących dziś pod całunem śniegu,—przystanął:

Jego dzieło!... Jego poezya!... Jego dusza!...

Inni wierszem, muzyką śpiewali twórcze hejnały: on pieśń swą zaklął w ten ogród. Każde drzewo, każda roślina mówiła mu rzeczy, których nie byłby umiał powtórzyć, ale dziwne ciepło szło od nich, rozlewało się po żyłach, wibrowało w piersiach rozkoszą.

Dom, rodzina—to były twarde nakazy życiowe, które gnały do pracy. Ten kolejowy ogród, znany w promieniu mil kilkudziesięciu, — chwała jego—radość—zaklął w sobie młodość, szczęście, marzenia: wszystko, czem karmią się inni, a czego on nie miał czasu przeżyć.

W jarzmie od dzieciństwa; przy pługu, odkąd oczy na świat otworzył!...

Horski zmarszczył brwi. Rozsnuła się przed nim jakaś szara, bezbrzeżna płaszczyzna: suche, spylone grudy ziemi, po których przewędrował lata swoje.

Nigdzie cienia, nigdzie kropli rosy!... praca... praca... Nigdy dnia, godziny wypoczynku... Aż teraz, nagle, to bezrobocie...

Minął ogród; oparł się pokusie wejścia za furtkę. Wiedział: byłby tam został aż do wieczora, obchodząc każde drzewo, słuchając tętna roślin pod śniegiem.

A coś go gnało dalej, nad rzekę: jakiś poryw oczekiwania, jakaś niewytłomaczona a pulsująca w żyłach nadzieja usłyszenia dobrej nowiny...

Tam, za mostem: wiorsta, może dalej... w zagajniku młodych sosen, dębów, olch i leszczyny—wiedział: zbierają się ludzie i radzą.

Nie miał dotąd odwagi iść do nich. Dziś... pierwszy raz... gnało go coś, siła jakaś nieprzeparta...

Parę razy w życiu... dawno, dawno... czuł tak samo.

Zamajaczyło mu w myśli kilka mętnych, jak wytarte klisze, obrazów: wiec w nizkiej, zadymionej sali, twarze rozpalone, wskakujący na stół, krzesła i plecy kolegów mówcy: chude, ascetyczne twarze na wyniszczonych korpusach, szeroki giest kościstych palców, albo ręce—bez ruchu—złożone na piersiach i wzrok rozogniony w tłum.

Krzyk, spory.

— Iść—w dniu wielkich pamiątek—na ulicę czy zostać?... Warta gra ofiary czy nie?...

Ze wszystkich gardeł huczało:

— Iść, iść!...

Kilku odmieńców tylko syknęło:

— Głupia studencka brawada!...

Schować siły na większe rzeczy... krecia robota ryje przyszłość... nie niszczyć jej manifestacją!...

Ale mur zwartych pięści kazał im milczeć.

I była manifestacja; wyszedł tłum na ulicę. Jego, Horskiego, niosło z innymi. Płynął z falą przez długie, słoneczne aleje do cichych ruin Botaniki.

Co święcą... Jaką rocznicę?... Nie wiedział dobrze. Nie miał czasu nauczyć się, zbadać. To, tamto wpadło w ucho. Snuło się w myślach mętne wyobrażenie celu, ale serce biło tęgim, świadomym porywem:

— Dla dobra sprawy!...

Radość, nadzieja, oczekiwanie pchały go naprzód z innymi, a w piersiach wzbierało gorące, rzewne uczucie.

Polska!... Nigdy dosyć ofiar w jej imię!... Nigdy miłości dosyć!...

To jedno kochał.

I gdy coraz twardsze jarzma gniotły mu kark; gdy na grudę ziemi, po której stąpał, nie spadły znikąd zbawcze rosy, jakiś cichy głos: „będzie kiedyś dobrze... tylko — nie trzeba przestać kochać“... trzymał go w napięciu...

Lata mijały. Dokoła niego, na ołtarzu podziemnych oświatowych robót, padały ofiary. On sam nie mógł siebie ponieść: miał lat 14, kiedy zarabiać musiał na matkę i brata; zaczął 30-y rok, gdy stworzył własną rodzinę...

Nikt w surowym, ostrym, czujnym wiecznie—

„panu naczelniku“, który nie opuścił ani jednego pociągu, nie przeoczył najmniej znaczącego kancelaryjnego raportu, nie byłby poznał patryoty, marzącego o dniu odrodzenia.

Bardzo głęboko gdzieś na dnie serca skryły się bujne porywy. Zmartwychwstawały jednak, gdy patrzył na syna.

— On za mnie i za siebie poniesie ofiarę— myślał.

I nie szczędził pieniędzy na naukę jego; dawał na wszystkie inne potrzeby.

— Aby był swobodny; aby nie potrzebował, jak ja, wejść w jarzmo; aby mógł dać siebie, kiedy zechce...

Nieraz miał chęć mówić z nim o tem; słowa układały się w myślach i biły do ust: zawracał je lęk nieprzystosowania.

Nie umiał mówić z dziećmi swoimi; coś murem stało między nim a nimi: ta jego wieczna gorączka robocza, ta „maska władzy“, z którą wchodził w progi domowe.

Dziś... zrzuci ją. Po drodze może spotka syna; otworzą się usta...

. . . .

. . . .

Śnieg skrzypiał pod stopami. Dokąd okiem sięgnąć, białe całuny. Szron na drzewach; w powietrzu srebrno-złoty pył strząsanych wiatrem i słońcem prześwieconych płatków.

Horski minął plant, zostawił za sobą proste koszarowe gmachy z czerwonej cegły: mieszkania niższej i wyższej służby drogowej, w których wlokło się z dnia na dzień senne wegetowanie odrętwiałych mózgów.

— Co będzie?—Kiedy się to skończy?—pytały lśniące szronem tory kolei, która iść przestała.

Gdzieniegdzie z za szyby odchuchanego okna wyglądała jakaś twarz wylękła; spojrzawszy na biały, głuchy plant, cofała się szybko.

Jak gdyby chustą śmierci powiała na nią cisza martwego usypiska...

Niedaleko mostu, w dół, ku rzece opadała ścieżka.

Setki nóg wydeptały ją dzisiaj: twarda była, lśniła w słońcu szklistą, przybrudzoną powłoką i, wijąc się zygzakiem wzdłuż powyginanych w zatoki wybrzeży, biegła do zagajnika młodych sosen, dębów, olch, leszczyn, podszytych w lecie kępami paproci, dziś — zasłanych śniegiem po czubki pni.

Gdzieś z boku, od strony, w którą nagle skręciła ścieżka, widniało przejście.

Horski cicho przesunął się między gałęziami drzew i w odległości może stu kroków dostrzegł zwartą—ramię przy ramieniu—gromadę.

Nagle uczuł się obcy; czapka, którą miał na głowie, z lampasem i gwiazdką, godło władzy —

zaciążyła mu niepokojąco. Zrzucić ją?—Nie mógł. Iść w niej, tam, wgłąb, nie śmiał.

Przystanął zdaleka w obramowaniu dwóch zbłąkanych między leszczyną świerków, tworzących rodzaj altany.

Nikt go nie widział. Oczy wszystkich zwrócone były w stronę młodego mówcy, który, kołysząc się na platformie czyichś ramion i pleców, rzucał w tłum hasła.

Grzmot oklasków grup najbliższych; gwizdanie, syk, wrzawa: „precz, precz, na latarnię z nim!"—dalszych przerywały ciżbę słów, siekących powietrze tępym, przyduszonym głosem.

Horski wytężył słuch.

Coś dobrze znanego wwiercało mu się w duszę. Te dźwięki matowe, gasnące, przewlekłe, z których nagle zrywa się krzyk ostry i sypią iskry nieokiełznanych, namiętnych gróźb; ta przydechowa wibracja spokojnej zrazu, a potem—jak rozpętana lawina—z trzaskiem i hukiem pędzącej nawały ostrzeżeń, klątw... Jak gdyby to gdzieś kiedyś słyszał. Nie same słowa, lecz... rodzaj, ton, nastrój mowy...

Postąpił naprzód kilka kroków.

Przyjrzeć się mówcy, bliżej być wszystkich...

Nie zauważony przez nikogo, stanął w gęstwinie szronem ubielonej olszyny, wprost mówcy, tak, że bezpośrednim rzutem bił w niego nabrzmiewający coraz większą siłą głos trybuna.

— Precz z Polską... taką jaką była dotąd!...

grzmiało z wysokości podniesionych ramion i zgiętych pleców, na których kołysała się postać wysokiego, szczupłego młodzieńca z bladą, ascetyczną twarzą, czarnym zarostem i czarnymi, na szyję opadającymi włosami.

Horski przetarł oczy i wpatrzył się w niego.

Głuchy ból, jakby ostrzem zardzewiałego żelaza, przeszył mu serce. Na oczy, uszy i tył czaszki zwaliła się kapa ciężkiej, szarej, gryzącej mgły. Chciał uciec coprędzej, a nogi jakby wrosły w ziemię.

Głos z trybuny huczał.

— Precz z Polską szlachecką!... Co nam ona dała?... Hańbę, ucisk ludu, grzech. W jej imię walka?... Dla ciasnych mózgów takie tylko hasło...

Horski zachwiał się. Jak przytłoczone kloszem ciężkich oparów, dolatywały do niego dalsze słowa. Nie byłby umiał ich powiązać. Jedne ginęły, inne trudno było zrozumieć; reszta... toporem waliła w skroń.

— Nie pójdzie kolej, aż... robotnik... prawa... ośmiogodzinny dzień roboczy... Burżuj polski... nie chce, nie rozumie... trzyma go w kleszczach przodków grzech... Precz z nią!... Taka Polska!... Roboczy lud... nie znała... nie chciała... Cośmy dotąd robili?... Plugawemi usty... jakieś tam hejnały... Precz, precz, precz!...

— Zwlec tego młokosa z trybuny! — chciał krzyknąć Horski, ale dech zamarł mu w piersi;

ręka, którą usiłował wyciągnąć w kierunku mówcy, zwisła w dół, jak na zmartwiałej sprężynie.

Oklaski i gwizdy powitały krępego robociarza, którego nagle—po skończonem przemówieniu studenta — podniosło w górę pięć par ramion, gdy Horski odzyskał władzę ruchu.

„Zwlec, zwlec go z trybuny!" huczało mu w mózgu, chociaż widział, że nad morzem głów stał już ktoś inny. Zwlec go!..." powtarzał sam do siebie odruchowo, jak gdyby chcąc zagłuszyć temi dwoma wyrazami jakiś inny krzyk, rwący się z duszy; jakąś cierniami aż do krwi kolącą świadomość, że za tego, kto przed chwilą mówił w tłum, odpowiada on sam... ojciec...

— Mój syn, mój syn... takie klątwy!...

Zatoczył się. Jak pijany, straciwszy ścieżkę z oczów, wyszedł nad zamarzłą rzekę, rozlaną pośrodku czarną smugą bijących od dna głębiny źródeł.

Musi, tym razem *musi* powrócić z nim. Powie mu...

Co powie?...

W piersiach jego coś przewaliło się nagle, jak gdyby serce z jednej strony skoczyło na drugą, wstrzymując oddech.

Ledwie parą odrętwiałych i skostniałych z zimna nóg dowlókł się do mostu, przerzuconego przez rzekę. Stanął. Zgiętym swym karkiem roboczym oparł się o twardy słup, podtrzymujący pierwszą arkadę.

Głowa zwisła mu na piersi, a dźwigał ją w górę mocno, żeby wytrzymać napór myśli, walących w czaszkę jakby z zewnątrz i jakby czymś bardzo bolesnym: zardzewiałym, kanciastym prętem żelaznym, który wrzynał się w mózg.

Musi skupić wszystkie siły refleksyi; musi rozważyć trzeźwo, świadomie plan rozmowy... z *nim*... zaraz po powrocie do domu...

On już tam może jest... Zeskoczywszy z trybuny, pewnie nie został dłużej... Drugi raz takich... klątw... nie rzucałby chyba...

Horski ścisnął usta, zsunął brwi.

Dziś jeszcze wezwie syna do siebie. Zamkną się. Pierwszy raz prosto, wyraźnie spojrzą sobie w oczy; pierwszy raz spróbują otworzyć przed sobą dusze...

Spokojnie, bez uniesień. W gniewie zatraca się sąd sprawiedliwy.

Zacznie... od czego?... Jakim argumentem usprawiedliwi gniew swój i oburzenie?...

Nie można walczyć na puste słowa: dowieść trzeba... kłamstwa...

Polska — grzech...

Jakiś dziki skowyt, od którego pękały skronie, podnosił się w nim. Mózg, nieprzyzwyczajony do refleksji, rozsadzał czaszkę pod brzemieniem wirujących obłędnie pojęć, które szukały jakiegoś zdecydowanego punktu wyjścia.

Polska — grzech!...

Naraz z jakiejś pieczary duszy podniósł się krzyk:

— A co ty wiesz o niej innego?... Czy—odkąd zacząłeś myśleć—słyszałeś coś więcej?...

Skulił się w sobie; przysiadł na jakimś kamieniu, z którego słońce wypiło śnieg, zakrył twarz rękami i przypomniał sobie szereg dni zamierzchłych.

Miał 9 lat, gdy którejś nocy matka zbudziła go, kazała mu się ubrać szybko, i powiedziała, że za chwilę wyjeżdża z nim i z małym jego braciszkiem.

W domu popłoch, ale cichy. Służba na palcach kręciła się po pokojach. Wszyscy płakali. I on też płakał: sam nie wiedział, czemu?...

Szeptano: powstanie!...

Od tego słowa szedł dziwny ból, jak gdyby za chwilę ojciec, matka, on, mały braciszek i wszyscy, wszyscy mieli umrzeć...

Wyjechali; matka, tonęła we łzach. Przemocą wyrwali ją z rąk ojca, który został.

Kiedy wrócili?... Nie pamiętał.

Skończył może lat 11 czy 12, gdy w domu wieczorem kiedyś zeszło się dużo gości. Mówiono o klęsce trzech rozbiorów. Wszyscy wtedy zaczęli krzyczeć:

— Powstanie to grzech: bez sił, bez środków... Brawada młokosów... Nieopatrzność starszych, którzy poszli za nimi... Lekkomyślność na-

rodu, który nigdy nie umiał być trzeźwym... Grzech, grzech, grzech!...

W czternastym roku poszedł do szkoły.

Tam znowu:

— Polska to słabość i grzech... Co po niej zostało? Niedołęztwo politycznego rozprzężenia, występek możnowładczej pychy i zdrady: przez urażoną butę szlachecką lub... dla srebrnika...

Więc—w szkole i w domu jedno:

„*Polska—grzech!...*“

Zmierzyć otchłań złego, dowiedzieć się, co pchało kraj do zguby, czy—w pochodzie dziejowym—niema prób, doświadczeń, klątw losu, któreby ją usprawiedliwiły?...

Horski rzucił się do książek.

Ale... w 3-ej, 4-ej klasie nie było czasu: greka, łacina i tyle, tyle innych przedmiotów!... Kuć trzeba było nocami.

W 5-ej —łatwiej pójdzie. Przeczyta wszystko, dowie się.

Doszedł do 5-ej. Wtym—ojciec umarł: trzeba było pracować na siebie, matkę i brata. Do 3-ej szkoła; potem—do późnej nocy—„korki“.

Przychodziły wielkie, pamiątkowe rocznice. W knajpach, na czwartakach wrzało:

— Czcić je!...

Był z tymi, którzy szli budzić miasto; był z tymi, którzy święcili rocznice.

Jakie?...

Dobrze nie wiedział: wierzył jednak że... bohaterstwu hołd składano, nie... występkom.

Skończył szkoły i — nie miał czasu poznać dziejów własnego narodu.

Potem... przyszło jarzmo, które jeszcze bardziej przytłukło go do ziemi.

Własna rodzina...

Przestał myśleć o rzeczach, nie związanych z pługiem, za którym szedł. Nad mętnym pojęciem grzechu podniosło się bezkrytyczne uczucie.

Kochał Polskę, nie chcąc wiedzieć, jaką była?...

Aż teraz... prosto w piersi... uderzył grom.

Co powie dziecku swojemu? Czym uzasadni oburzenie swe i gniew?...

Skurczył się, zmalał nagle, jak ktoś, żelazną pięścią przywalony do ziemi: Głowa zwisła mu na piersi. Z oczów stoczyły się dwie grube łzy.

Na ból nieuświadomienia swego, na grzech swój i... dziecka swego grzech...

Zmrok już zapadał; na płachtach śniegu kładły się cienie, gdy wolno, jak pielgrzym zmęczony, wracał do domu, nic nie widząc, odruchem półświadomości wlokąc za sobą odrętwiałe nogi.

Wtem — jakiś odgłos: coś stuknęło i zaszeleściało zdaleka.

Może z drutów telegraficznych padł zmarznięty ptak, a może...

Horskiemu wydało się, że słyszy podniesienie sygnału. Najwyraźniej to samo, gwałtowne

zrazu, ostre, a potem przeciągłe szarpnięcie lin i chrzęst drewnianych ramion.

Wyprostował się. Poprawił czapkę na głowie tak, żeby daszkiem zaglądała mu w same oczy.

Wyraz władzy znowu osiadł na twarzy. Kilka twardych, szybkich nakazów zahuczało w głowie.

Oprzytomniał dopiero, spojrzawszy w czarną paszczę opustoszałego dworca.

Wolno, stając co krok, powlókł się do domu. Nogi ciążyły coraz bardziej. W całym sobie czuł obezwładniający brak sił.

A jednak—gdy był już u progu, gwałtowny, bystrzejszy od aktu świadomej woli odruch rzucił go w tył.

Nie wejdzie: coś biczem strachu odpędza go od własnych drzwi.

Nasunął czapkę na oczy, postawił kołnierz szynela i szybko, czając się pod ścianą, jak zbiegły więzień, zawrócił na śpiący pod całunem śniegu plant kolejowy.

Wsunie się do bufetu cicho, nieznacznie. Gdzieś w kącie przesiedzi noc całą.

Może nad ranem, gdy zmoży go sen, wróci do domu.

DWUGŁOS PRACY.

I.

Jak tarcie tępej piły o twardą korę, brzmiał głos jego, urywany, zająkliwy, oschły.

Można było z góry wiedzieć, co powie?

Siedząca obok kobieta od miesiąca codzień wysłuchiwała jednej i tej samej gamy skarg, które wyrzucał z siebie...

Społeczeństwo nie docenia go. Napisał powieść, w której myśl jego wzbiła się na wyżyny objawienia, a pierwszy lepszy kabotyn literatury, który tęgim kułakiem i kuglarskiem „hocus pocus" utorował sobie drogę na Parnas, więcej ma sławy od niego.

Dzienniki wrzasnęły: „Wielki talent!... młoda, obiecująca siła"!... I na tem koniec.

Od miesiąca, przeglądając pocztę z kraju, próżno szuka w gazetach swego nazwiska.

Zapomniano o nim. Jak gdyby nie wypruł z siebie ducha żywego w twórczej męce; jak

gdyby sto razy nie padał i nie dźwigał się pod krzyżem wnętrznej Golgoty...

Kogo to obchodzi?... Co komu do jego udręczonych znojów?...

Ciśniesz motłochowi mózg własny, — pożre go albo... zdepcze. Ale... czy naładuje się nim, jak indyk twarogiem, czy tylko nabierze go sobie na podeszwy,—nie spojrzy na pustą twoją czaszkę i nawet przez omyłkę nie rzuci w nią: „Bóg zapłać"!... Pokaż mu serce, krwią ociekłe, ziewnie i mruknie: „tylko to"?... Spostrzeże cię dopiero i zawyje nad tobą: „odmieniec"!... gdy obryzgasz go żółcią wzdętej twej wątroby, gdy sykniesz: „podły"!... i wstrząśniesz bez litości zaspane od wieków jego trzewia...

Jak tarcie tępej piły o twardą korę, brzmiał głos pychy, która przez niego mówiła.

Blady był; głowę miał spuszczoną, wzrok utkwiony w siebie. Nie widział morza, wpatrzonego w niebo, nieba, wpatrzonego w morze i smutnych, dzikich skał, wpatrzonych w niebo i morze...

Przed nim, na skręcie zatoki piętrzyło się miasto, w szarym piaskowcu wykute: znój pokoleń, które powlokły na szczyty bloki kamienne i stworzyły cud—życie nad przepaściami...

Gdzie niegdyś z wichrem roznosił się pył ziemi, tam—zasadzone niewiadomą ręką na usypiskach i jałowych żlebach — rozkwitły gąszcze platanów, pióropusze trzcin, gaje wiotkich bam-

busów, pachnących magnolii, palm, wawrzynów. Gdzie niegdyś szarzał czubek pustej skały, tam stanął ogród.

W kwiat zaklęła kamienie wola człowieka, a za nią poszła wola życiodajnej plenności.

Z każdej szczeliny, z każdej na martwy głaz rzuconej grudki ziemi wypełzła dzika, samorzutna zieleń: tu pogiętym, skurczonym, ale silnym i twardym, jak stal, korzeniem lauru, tam gałęzią figi lub bukietem agawy, tam wreszcie wątłą łodygą polnej róży, berberysu, kolących kaktusów, jarzębiny. Osowiałe wzgórza zaroiły się ptactwem, zaszumiały gwarem. Powiały wonie kwietnych pyłów, rozdzwonił się korowód drobnych muszek, pszczół, komarów, motyli. Gdzie milczał głaz, przemówiły ptaki, owady; gdzie łysą wydmą ziewał jałowy łan, zaśmiały się szmaragdy trawników, biegnąc w dół ku zygzakom nadmorskich dróg.

Co mógł dokonać trud zbiorowy i znój, stanęło tutaj; co mogło dźwignąć ramię przy ramieniu, w dłoni dłoń, to kolosem wiekowych wysiłków przemówiło z czubka każdej wieżycy, z poszumu gajów, winnic i figowych pól.

Przemówiło pieśnią wielkiej, bezimiennej pracy, która zamienia głazy w kwiat.

Nie chodzi jej o sławę, a stawia sobie pomniki; nic chce zdumiewać, a stwarza za cudem cud.

. . . .

. . . .

Nad miastem, którego dzieje ginęły w pomroce wieków; nad trudem Syzyfów, których nazwisk nikt nigdy nie wiedział, przelewał się rozpłakany smętek gasnącego za chmurami słońca.

Wtem z za szarej baszty trysnęła blada czerwień i rosła, tężała, aż krwawą smugą objęła skalny gród. Wyolbrzymiały wieżyce i mury w hardej, wyzywającej purpurze. Z przykucniętych na zrębach skał, jak ciche grobowce, domków roboczych górali powstały — zdawało się — ręce z przypomnieniem:

— Już czas!...

Już czas, by Syzyfom dano nazwiska; już czas na pokłon wielkiej, zbiorowej pracy!...

. . . .

II.

W sali olbrzymiej zebrał się tłum: głowa przy głowie, przy ramieniu ramię.

Święto radosnych dni. Syzyf odsłania przyłbicę i woła:

— To ja!...

Każe patrzeć na siebie; każe siebie słuchać, on, o którym—chleb biorąc z jego ręki—nie wiedziano, że jest.

Przemówił. Podniosła się pieśń bezimiennych, a po niej na katedrę wszedł pierwszy trybun.

Mówił:

— Nadeszła chwila: przed pracującym lu-

dem stają jego pisarze, aby uczynić rachunek sumienia i stwierdzić, że jedną z nim całość stanowią. Kłamstwem jest, że więcej znaczy poeta, mędrzec, myśliciel od strudzonego pól oracza. Niema lepszych i gorszych zawodów; niema niższych i wyższych gatunków pracy; niema energji, z których jedna podporządkowywałaby się drugiej. My pisarze jesteśmy robotnikami pióra, a wy, robotnicy, jesteście pisarzami czynu, poetami młota, którym wykuwacie podwaliny przyszłości... Wszyscy razem stanowimy jedną wielką rodzinę...

Skończył. Poruszyło sią morze ramion i głów.

Na katedrę wstąpił drugi mówca.

— Staję do obrachunku i ja—rzekł—ja, pisarz, socjolog, a więc — uprzywilejowany. Staję i z całą stanowczością oświadczam, iż — gdyby wzięto wagi, na jednej szali położono wszystkie moje przyczynki naukowe, na drugiej najpośledniejszy z tych odruchów niedocenionego trudu waszego,—to szala ostatnia przeważyłaby... Tak, oświadczam raz jeszcze: wszystkie moje naukowe przyczynki nie są warte jednego krzyku, który bije w niebo: „ty nam, Boże, nie strój ziemi w kwiatów puchy, póki łzami gorącemi płaczą duchy“!...

. . . .

. . . .

. . . .

Coraz inni mówcy wchodzili na trybunę

i schodzili z niej. Każdy na cichym ołtarzu palił swoją ambrę ofiarną.

Tłum słuchał w milczeniu.

Wtem z kąta galerji zwlokła się jakaś postać: blady, wychudły młodzieniec, za którym szła kobieta.

Łokciami, kolanami torował sobie drogę przez zbitą gromadę.

Chciał stanąć przed tłumem i on z obrachunkiem obnażonego aż do aktu pokory sumienia, z wyjętym z pod czaszki mózgiem, który rozdymała pycha i trawił nienasycony głód hołdów.

Napisał powieść, która sto słońc chwały powinna była rozpalić nad jego czołem, a nazwisko jego prawie przebrzmiało bez echa. Rzucono mu w uszy: „Wielki talent!... młoda, obiecująca siła"!... I na tem koniec.

Milczano o nim, więc żółcią wzbierała mu pierś, piołun wsączał się w żyły.

Aż dziś zrozumiał czczość pychy swej. Za jeden spazm twórczy żądał nieśmiertelności, gdy miljon rąk, zczerniałych od kilofów i młotów ginęło w zapomnieniu.

Czem był?...

Sybarytą własnych natchnień, które przeżuwał w ciszy zmierzchów wieczornych lub przedporannych świtów, leżąc wygodnie w pokoju u siebie, gdy tamci — bezimienni — w krwawym pocie budowali świat.

— Puśćcie mnie!...

Chciał iść do nich, wyznać im winy swoje, odsłonić skruszone swe serce, żądać przebaczenia, krzyczeć z wezbranej pokutnym bólem piersi:

— Dziś dopiero zrozumiałem was... Dziś — widzę, że bez was... byłbym pyłem w pustyni... Wy, poeci młota, zmieniacie pustynię w kwietny gaj... Wy dla nas, robotników pióra, stawiacie wieżyce, skąd naokół rozchodzi się sława, pieśń... Cześć, wam, bracia!...

Blady, spragniony głosu w tej wielkiej, tętnem odrodzenia bijącej sali, przepychał się przez tłum.

Zatrzymywano go co krok. Obcy był. Nic nie wiedziano o nim. Na struny jego harfy nie padły nigdy łzy spracowanych nędzarzy. Przemawiał z wyżyn, jak pan udzielny do zgrai sług.

Więc próżno on i idąca za nim kobieta wołali.

— Puśćcie! Grzesznik z win swoich chce oczyścić się przed wami!...

Mur pleców, ramion, rąk cofał go wstecz brutalnie.

W tym wielkim dniu „bezimienni“ chcieli słyszeć tych tylko, co zawsze z nimi byli...

BACZNOŚĆ!

(Z minionej doby).

— Napisz: *ab* i przeczytaj!...

A teraz: *ba*...

— A teraz: *baba*...

Z Promykiem w ręku *pani* dyktuje.

Janek pisze węglem na przyczepionym do ściany, polinjowanym ukośnie papierze (zaimprowizowana na prędce tablica) i powtarza: *ab*, *ba*, *baba*... Później: *ob*, *bo*, *bobo* i t. p.

Reszta dzieci — patrzy w elementarze i powtarza: *ab*, *ba*, *bo*, *ob*...

Franek nachyla się do ucha Stefki i szepcze:

— Wisz?... Szary ci me gonił dzisiej bez całe Marszałkowskie... Sprzykrzyło mi sie nieść książki w ceracie pod bluzom, bo gorąco, aż parzy, więc wyjonem i w rękie... Jak ci nie zobaczy, tak dalej do mnie: „pokaż!..." Ja nic, tylko piasku w garść, bo akurat brukowali ulicę i buch

w ślepie jemu... Aż zaryczał, jak wół, a ja w nogi... Drugi w celandrze, co to widział, za mnom... Ja znowu piasku w garść: przeląk się... Schowałem się do bramy: on wścibia nos... Ja tylko groziłem tym piaskiem i zara ucik, ale nakrzyczał do stróża przed bramom, że me zapamiętał i nie daruje...

— Trzeba *pani* pedzić...

— Głupiaś; po co?...

— *Pani* kazała, że jakby co któremu się przytrafiło, to żeby zara meldować...

— A przecie Gawła już bedzie tydzień jeden złapał i on nic, to po co ja mam gadać? Tomek powi, żem sie spietrał i zacznom sie naśmiwki... Niech on powi, to i ja powiem...

— Napisz: *aj*—przeczytaj!...

— A potem: *ja*... a potem *jaja*...

Wszyscy powtarzają za Jankiem: *aj*, *ja*, *jaja*...

Tylko Franek ze Stefką szepcze.

— Co wy tam?... Dlaczego nie patrzycie w książkę?... Franek do tablicy!... A na drugi raz—oboje do kąta!...

Franek wychodzi ciężko, opornie, z jakimś niedomówionym wyrazem na wzdętych wargach.

— Proszę pani, bo onby coś pedział, ale sie wstydzi. Mówi, że jak Gaweł pirszy zacznie, to i on też...

Pani odchodzi od prowizorycznej tablicy.

— Cóż takiego?

Stefka wstaje, kręci się na pięcie.

— Bo jak on szed tu dzisiej, tak „szary" za nim bez całe Marszałkowskie... Więc on piasku w garść i jemu w ślipie, że aż zaryczał jak wół... To potem za nim znowu ten w celandrze... Tak ci go gonili, że ledwie ucik... Ale peda, że nic nie powi, dopóki Gaweł pirszy nie zacznie, bo jego tyż gonili... więc, żeby nie pedzieli, że Franek ma pietra, a Gaweł nie...

Pani się zafrasowała i najpierw do Gawła, jak to było?...

Jąkając się, z przydechowem *y*... *y*... co drugi wyraz, malec (lat 8) wystękał swoje...

Pani bardzo się zasępiła.

— A Franek co ma do powiedzenia?

Przestępując z nogi na nogę, wyrecytował chłopak przy pomocy Stefki swoje dzieje.

Pani posłała najstarszego, Tomka Kędziora, przed bramę, żeby zobaczył, czy kto nie chodzi albo nie stoi i patrzy. Tymczasem kazała poskładać książki i kajety, zdarła ze ściany zasmarowaną węglem prowizoryczną tablicę i sama to wszystko wyniosła gdzieś przez drugą izbę na strych w miejsce, o którem nikt prócz niej i właścicielki mieszkania, wdowy—stolarki, nie wiedział.

Wróciwszy do ciasnej izby na poddaszu, wynajmowanej za cztery ruble miesięcznie na dwie godziny „szkoły", kazała powtórzyć dzieciom codzienną litanję: jak mają nosić kajety i książki, jak mają odpowiadać, gdyby ich kto zaczepił? Czy powinny dawać się zatrzymywać obcym lu-

dziom, którzyby wzamian za ciastka, cukierki, pomarańcze i inne łakocie chcieli wymódz od nich zwierzenia...

Dzieci wyrecytowały odpowiedzi, jak pacierz. Nawet mały Misiak, przed tygodniem dopiero przyjęty, wiedział, że trzeba się mieć na baczności, że trzeba uciekać, jak się tylko gdzie „szarego“ z daleka zobaczy...

— Dobrze, dobrze! powtarzała *pani* napozór spokojnie, w oczach jej jednak przebijała trwoga.

Tomek nie wracał z wywiadów. Powinien był już przyjść. Czemu go nie widać?...

Kazała dzieciom usiąść dokoła stołu w porządku, grzecznie, jak na początku lekcji; powiedziała, że w razie gdyby ktoś zastukał do drzwi, powinny—przez mieszkanie sąsiadki—wysunąć się nieznacznie.

— Rozumiecie dobrze?

— Rozumiemy.

Siadłszy między niemi, spoglądając w stronę drzwi co chwila, zaczęła przerwaną wczoraj pogadankę o pierwszych dziejach Polski.

Mówiła o Piaście—kołodzieju, który powołany został do władzy nie dla bogactw ani dla siły swojej, lecz że najlepszy i najmądrzejszy był z pomiędzy braci — polaków i duszą człowieka prawego górował nad nimi.

Słowa jej, jak zbłąkane w ciemnicy światełka, padały w głąb dusznej, mrocznej izby.

Z kuchni, gdzie stolarka rozłożyła się z pra-

niem, dolatywał swąd mydlin i wilgoć mdlących oparów.

Nie czuły tego dzieci, wsłuchane w opowiadanie *pani*. W sercu każdego z nich rozpalały się ogniki. Jakieś wielkie, jasne obrazy stawały przed oczami.

Dobry kołodziej, aniołowie, którzy przyszli mu zwiastować, że zostanie królem; rozstępujące się przed gośćmi ściany ciasnych izb drewnianej chaty; chleb, miód, owoce, mięsiwo, które rosły w oczach i tyle dziwnych, dziwnych a takich pięknych rzeczy!...

Zdaje się, że słychać w powietrzu szum białych skrzydeł i cudny, jak muzyka, głos aniołów, kiedy witają Piasta...

Słuchają dzieci w milczeniu; *pani* zapala się; przestaje patrzeć na drzwi, tylko opowiada, jakby sama wszystko widziała, choć zaraz na początku powiedziała, że o tych aniołach, to bajka...

Wtem Tomek stuknął trzy razy do drzwi na znak, że to on. Za każdem innem stuknięciem pani woła: *„baczność!“* i dzieci chyłkiem wymykają się na dwór przez mieszkanie sąsiadki.

Czerwony, zdyszany bez tchu prawie, Tomek opowiada, że sam widział na własne oczy, jak jakiś pan w cylindrze przyszedł do stróża i dalej go pytać, gdzie tutaj jest szkoła? Żeby go zaraz zaprowadził, to dostanie parę rubli, a jak nie zaprowadzi to pójdzie do kozy.

Stróż powiedział, że o niczem nie wie a on, Tomek, zaraz—po cztery schody—i jest.

Pani słuchała ze zmarszczonymi brwiami.

— Rozejść się!—zakomenderowała naraz—i nie przychodzić na lekcje, aż sama dam znać każdemu, gdzie i kiedy. Niech ktoś starszy przyjdzie po wasze książki do stolarki! Uczyć się tymczasem w domu sami!...

W chwilę potem izba opustoszała. Przez parkan na podwórzu dzieci „zwiały“ — w odstępach jedno po drugiem. Puste przecznice zaszumiały tupotem drobnych bosych nóżek i przycichły.

Pani poczekała może godzinę, może dwie w mieszkaniu sąsiadki stolarki, szewcowej.

Wymknęła się dopiero, gdy dano znać, że „szary“ poszedł na obiad, a ten w „celandrze“ wstąpił z dorożkarzami do szynku na kieliszek gorzałki.

PANI WIKTORJI

SZADKOWSKIEJ—BRUNEROWEJ

Na pamiątkę jednego zimowego wieczoru.

W BLASKU

Od godziny błądzi nad Wisłą. Idzie brzegiem powoli. Wloką ją ociężałe, jakby sztucznie do korpusu przyczepione nogi.

Stanęła. Patrzy na mgłę i stężały w bezruchu pył miasta.

Taką mgłę, taką cichą, odrętwiałą szarość ma w sobie i to jedno tylko mocne uczucie, tę jedną świadomość: „dziś umrze... dłużej czekać nie może..."

Śmierć jej, jak całe życie, będzie szara, żadna.

Padnie na dno rzeki. Po kilku dniach gdzieś daleko wypłynie ciało. Nikt go nie pozna. Pochowają ją na pustym cmentarzu. Deszcze podmyją, wichry rozniosą mogiłę...

Poruszyła się i zaczęła iść prędzej.

Okrążywszy bulwar z prawej strony, po schodkach wolno weszła na most.

Ludzie, jak w mrowisku. Mijają się, nacie-

rają na siebie. Gwar, szum, jakby przelewała się w górze druga rzeka.

Czy... w tym tłumie... znajdzie chwilę?...

Zadrżała. W oczach rozpalił się i zgasł blady niepokój.

Szła naprzód, potrącana w tył, w bok przez rozpędzonych przechodniów.

Ktoś do kogoś rzucił tuż nad jej uchem:

— Co za królewskie słońce!

Podniosła głowę.

Za czubkami domów, nad lewym brzegiem rzeki rozlała się struga czerwieni. Okna, dachy, kopuły, wieże, wieżyczki płonęły. Miasto stało w pożodze. Odblask krwawego światła padł na szyby fabryki i witraże kościoła po drugiej stronie mostu. Płomienie od ulic, przyczajonych nad bulwarem, szły w dół ku Wiśle, liżąc ją blaskami purpury.

Zapatrzyła się w łunę ognistą i szła naprzód wolno, coraz wolniej.

Chciałaby iść tak wiecznie, w to światło, w samo jądro światła, żeby aż... oślepły oczy...

Wtem drgnęła.

Ból życia głuchy, tępy, uderzył w nią rdzawym biczyskiem... Uczuła trwogę ściganego zwierzęcia. Oglądając się na prawo, na lewo, w tył, w bok, czekała chwili.

Ludzie jedną stłoczoną masą zalewali wązką szczeliną mostu: ciżba ze wszystkich stron,

rozwałęsana albo pędząca na oślep w zachłannej gorączce pośpiechu.

Czekać nocy?...

Nie, nigdy.

Jakiś przechodzeń trącił ją łokciem w plecy i przydusił do żelaznej krawędzi, skąd dwa skoki tylko...

Tłok nagle ustał. Jedna fala minęła most, druga jeszcze nie nadeszła. Zdaleka błąkał się policjant i sunęła, utykając na obie nogi, żebraczka. Żyd stał gdzieś blizko z koszem pierników i ciastek.

Nie rzuci go, żeby ją ratować...

Obejrzała się.

Kilka chaotycznych obrazów; żyd, policjant, żebraczka, tramwaj za kratami mostu... wir szalony, obłędny, jakby wszystko staczało się w przepaść i tylko nad uchem szept cichy, wyraźny:

„Prędzej, prędzej!...“

Wskoczyła na żelazną poręcz.

Nagle—rozkoszne i bolesne bezczucie atomu, pędzącego w międzyplanetarnych przestworzach...

Zawisnąć tak i stężeć na wieczność!...

Głuchy plusk... zimno... Woda zalewa oczy, nos, usta; pod nogami piasek: dno czy żółta ławica przy brzegu?...

Zimno i ciemno; szara, rozbełtana toń. Jakiś mokry ciężar na głowie: włosy jakby ze stali, wrzynają się w szyję i ciągną, ciągną...

Wtem—światło: krwawa czerwień, łuna pożogi...

Ze statku, który przejeżdżał, spuszczono łódkę. Ktoś skoczył na dno.

— Uratowana!...

Jeden krzyk stłoczonej na moście ciżby.

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Godzinę później w szpitalu.

— Imię? Nazwisko? Adres? Zajęcie? Powód usiłowanego samobójstwa?...

Ciernie w mózg, w oszalałą, nieprzytomną duszę; stal piekąca na żywe rany...

Jak żyć dalej?...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Przyszły dni straszne. W oczach matki, sióstr, braci czytała:

„Jak ty nas męczysz!... Czemu nie dopełniło się to... wtedy?...“

Ale — nie odstępowano jej na krok; pilnowano w dzień, w nocy, bo... życie — klątwa, czy życie—rozkosz trwać musi, dopóki nie przerwie się samo... Tak każe dogmat.

Kiedyś wreszcie udało jej się zmylić straż.

Wyszła.

W ciasną uliczkę powlokły ją nogi. Ciche, nędzne sklepiki, ale... w jednym... może...

Przez otwarte drzwi wsunęła się cicho.

Nie miała pieniędzy. Zdjęła z palca pierścionek, położyła na stole i, gdy chudy, suchotniczy żydek schylił się po towar, którego zażądała,—schwyciła ostry kozik na krótkiej, drewnianej obsadzie, wybiegła z nim szybko i skręciła w gęstwiną jeszcze ciaśniejszych, brudniejszych uliczek.

Zatrzymała ją rozmowa dwóch robotników, stojących przed jedyną w tym punkcie wielką murowaną kamienicą.

— Wyschnie do jutra czy nie? — spytał pierwszy, patrząc w rząd okien pustego mieszkania na czwartem piętrze, które przed paroma dniami podmalowali.

Nie usłyszała odpowiedzi. Jednym tchem wbiegła na schody, skropione biało-niebieskiemi centkami świeżej farby.

Na najwyższem piętrze stały otworem puste pokoje. W głębi korytarza warczały maszyny i czerniał napis:

„Pracownia sukien".

Zresztą było cicho. Jakiś staruszek wysunął się z którychś drzwi i zeszedł na dół powoli. Potem już — milczenie; nawet maszyny przestały warczeć.

Weszła do pierwszego, wonią mokrego wapna przesyconego pokoju.

Pusto. Nikt jej nie śledzi. W domu nie wiedzą, gdzie jest?...

Nareszcie!...

Przymknęła drzwi lekko, nie na klamkę i stanęła w oknie.

Na dole brudne życie ciasnych ulic nędzy: łachmany i głód.

W górze — gasnące słońce.

Tak jak wtedy, rok temu: czerwony blask...

Nie żal jej życia. Śmierć... aby tylko przyszła, aby znowu nie stało się to, co wtedy...

Ten nóż: czy ostry?...

Otworzyła go, przekrajała palec, z którego trysnęła czerwona posoka.

Zaśmiała się i wargi zastygły w tym śmiechu.

Teraz — prędzej...

Zrzuciła kapelusz, rozpięła stanik, zerwała z siebie gorset, zwlokła z nóg pończochy.

Nic już jej nie krępowało.

Tylko prędzej, prędzej...

Ręce jej drżały; w mózgu przelewał się głuchy szum, jakby puszczonej w ruch śruby, która waliła od czaszki aż pod serce z łoskotem.

Położyła się na ziemi z głową, opartą o mokrą ścianę.

Czas już!...

Serce jej biło; w głowie huk.

Drżącą ręką ścisnęła kozik i podniosła do gardła.

Coś pąsowego, jak ta łuna pożarna tam, na niebie, trysnęło jej w oczy.

Poruszyła głową.

Żyła jeszcze; widziała wszystko: puste, mokre ściany i to czerwone światło, tam w górze, nad dachami...

Podniosła nóż drugi raz: kilka purpurowych kropli zawisło aż na powiekach jej, ale... jeszcze żyła, jeszcze...

Spróbowała ruszać głową.

Nie straciła władzy, więc... dalej... aż przyjdzie śmierć... ta upragniona... ta... wybawicielka...

Nad dachami taki gorący, wielki blask. Chciałaby patrzeć w niego wiecznie, ale... trzeba, żeby przygasł; trzeba, żeby przywaliła go śmierć...

Podniosła rękę po raz trzeci.

Wtem — palce zwisły; stuknęło o ziemię skrwawione ostrze, a jej wydało się nagle, że szyję ma przeciętą nawskroś, głowę odłupaną i zawieszoną w czerwonem świetle nad dachami.

Oczy piły blask, a ciało prężyło się rozkosznie.

Więc śmierć—to ta łuna pożarna, to wieczność krwawej czerwieni?...

Szczęka jej obwisła na piersi; po policzkach pływały zmięszane z krwią łzy.

Nie czuła tego: czuła tylko pustkę głowy, zawieszonej w przestworzach i zalanej ogniem purpury.

Krew coraz wolniej ociekała z podciętej szyi. Słońce gasło nad dachami, przychodził cichy zmierzch, a ona widziała ciągle jaskrawą

czerwień i czuła ciągle zawieszoną w powietrzu własną głowę.

Wtem szalone, silniejsze nad wszystko pragnienie szarpnęło nią.

— Pić, pić!...

Przyczołgała się do drzwi, odchyliła je z nadludzkim wysiłkiem.

— Wody! — syknęła półtchem.

Staruszek, który przed godziną schodził ze schodów, teraz wsuwał się na nie wolno, ostrożnie.

— Wody!... Wody!...

Spojrzał na nią i zatrząsł się ze strachu.

Krew na policzkach, włosach, rękach, ubraniu...

Dysząc ciężko, przyspieszył kroku i wpadł do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz.

W głębi korytarza warczały maszyny.

Dowlec się tam!...

Cała noc drogi, ale... trzeba!...

Pić, pić!...

Piekło bólu. Każdy ruch to cud.

Sunie powoli. Jest przy drzwiach, za któremi warczą maszyny i trzeszczy jazgot głosów kobiecych.

Chce uderzyć pięścią: nie może; ręka opada.

Leży bez ruchu.

Wtem — jawa czy złuda? — Głowa jej bije o drzwi.

Cichnie warczenie maszyn. Kilkanaście rąk przypada do klamki.

Popłoch, krzyk, trzaśnięcie drzwiami, jazgot, uciekający aż do trzeciego pokoju.

Niema ratunku: śmierć — to ta klątwa pragnienia, która wyżera dech z piersi.

W korytarzu ciemno; na schodach odgłos ciężkich, opieszałych kroków.

Stróż zapala światło.

Ratunek!

Czołga się do sieni. Chce syczeć: „wody!...“ Nie może. Probuje bełkotać: nie rozumie sama siebie.

Szczęka jej zwisa; głowa, jak dzwon w próżni, kołysze się i dźwiga.

Pan w niebieskim fartuchu, z daszkiem przy czapce, podchodzi, szturcha ją nogą.

— Pijane bydlę: aż tu zawlekać się z wódką!... Precz ze schodów... Jazda!...

Drugie kopnięcie nogą w szyję, z której tryska zakrzepła na wierzchu krew.

Milczenie. Pan w czapce pochyla się z rozpalonym na drążku kagankiem; patrzy i... pędem zbiega na dół.

Hałas w bramie. Po kilku minutach hałas na schodach. Gromada ludzi biegnie po stopniach.

— Okaleczona?...

— Tak, panie doktorze: krew cieknie z szyi...

Uchylają się drzwi w głębi korytarza: wychodzi staruszek; na palcach — po jednej — przybiegają szwaczki.

Ktoś kolanem podnosi obwisłą szczękę; ktoś

inny szarpie za ramię; ktoś cichaczem wyjmuje zegarek.

Wtem rozkaz:

— Tampony!... Bandaż!... Woda!...

Woda!...

Pić, pić!...

Chce zawołać: nie może; opada.

Śmierć — to klątwa pragnienia...

W końcu i ono ustaje.

Nic nie czuje: widzi tylko blask i własną głowę, zawieszoną w próżni...

Nareszcie słodki, głęboki, cichy sen.

— — — — — — — — — — —

— Imię?... Nazwisko?... Adres?... Zajęcie?...

Przyczyna usiłowanego samobójstwa?...

Kiedyś... już dawno, dawno, przed śmiercią... te same pytania...

Wtedy bolało. Teraz... nic: leży cicho i patrzy w blask.

Dawne obrazy, te... z życia... przesuwają się, jak słabe, na pogięty ekran rzucone odbicia strzaskanych przezroczy.

Nieudana sztuka, nieudana miłość, nieudany poryw społeczny: jedna długa pomyłka... wszystko zdeptane: zgrzyt...

Majak, wyraźniejszy od innych, snuje się najdłużej: twarz Jura — w krwawem świetle — obok jej twarzy...

Przyszedł, wciągnął ją w zawieruchę, odkrył nowe światy.

Po zaułkach i ciemnicach, do nor, w których zdawało się kończyć a nie poczynać życie, prowadził ją...

Szła za nim, posłuszna zorzom, które wskazywał.

Aż wreszcie... zdrada: wydano go, a on, męczony, wydał wszystkich, prócz niej.

I wtedy skończyło się życie: przyszła śmierć— ten blask czerwony, który jest wszystkiem: sławą, miłością, odrodzeniem...

Leżąc cicho, bez ruchu, patrzy w purpurową przestrzeń, do której śmieją się zastygłe w zachwycie usta.

A głowa leci wzwyż, jak poniesiony nadludzką siłą, pusty dzwon.

PANI CECYLJI ŚNIEGOCKIEJ.

DRZEWKO

Tam, na samym czubku wysmukłego świerka, zawiesi malowankę: staruszka z długą, siwą brodą i kapturem na głowie, trzymającego w rękach podarki.

Ma to być św. Mikołaj. Oh, jak zabłysną oczy małej Kaśce Trapusównie i Staśce Górskiej, gdy spojrzą na niego!

Długa, biała broda, śnieg na kapturze i na rękawach bronzowego habitu...

Trzeba przypruszyć całe drzewko kłębkami lepkiej, lśniącej waty, aby wyglądało, jak skąpane w śnieżycy; trzeba opleść je festonami złotych i srebrnych niteczek: niech błyszczy całe, niech mieni się potokiem plam barwnych!

Ze stopni małej drabinki pokojowej giętka postać Celiny przechylała się to w bok, to naprzód: szczupłe jej ręce poprawiły tu jabłko, źle przyczepione do gałązki świerka; tam piernik,

odwrócony ciemną stroną do jutrzejszych widzów; rozsnuły wreszcie od góry do dołu między ciemnemi gałęźmi niteczki srebra i złota, rzuciły puch białej waty na kolące igiełki.

Pod samym sufitem, na strzelającym w górę czubku świerka zawisła w końcu malowanka: staruszek w habicie, z długą, białą brodą.

Spojrzał spokojnemi oczyma na blaszane cacka u dołu, na owalne tekturowe torebki w kształcie jajeczek, pełne cukierków i drobnych pierników, na różnobarwne motyle z bibułki ze złoconemi orzechami w pyszczkach, na woskowe świeczki, proste, sztywne, w sufit wpatrzone.

Zdawało się, że cieniutkie niteczki u spodu gałązek zadrgały pod jego wzrokiem i że poruszyły się na nich pstre cacka.

Zapalić świeczki, zobaczyć, jak wygląda całość: ach, jakażby to była radość!...

Usta i oczy Celiny zabłysły uśmiechem.

Zeszła ze schodków, sięgnęła ręką po zapałki na stoliku.

Wtem zatrzymała się. Krótkie, przelotne spojrzenie padło na zegar.

Jedenasta. Dziesięć lat temu o tej porze...

Z ust, z oczu zniknął uśmiech.

Dziesięć lat temu...

Rzuciła na stół zapałki, padła na fotel w głębi pokoju i, zasłoniwszy dłońmi oczy, zaczęła rozpamiętywać bolesną rocznicę.

Dziesięć lat temu, o tej samej porze, jak dziś, stroiła choinkę.

Zażądało tego chore jej dziecko, któremu powiedziano, że nazajutrz Nowy rok.

Święta Bożego Narodzenia już przeszły, a ono nie widziało drzewka!...

— Ubierz mi, mamo, choinkę!—prosiła.

Spełniła życzenie. Postawiono świerk w pokoju.

Z za gipiury białego baldachimu nad łóżeczkiem para dużych, gasnących oczu biegła za każdem, ręką matki wieszanem cackiem.

— Mamo, tego motyla wyżej!... Tę torebkę tu, blizko mnie, żebym ją widziała!... Tam pierniki i orzechy!... Ja tak lubię!... Staruszka, mamusiu, w górze, na samym czubku, żeby patrzył na wszystko!... O, tak, dobrze!—wołał cichy głos dziewięcioletniej dziewczynki, przerywany suchym, tępym kaszlem. Oczy z wysiłkiem śledziły każdy ruch matki.

Tak trudno było patrzeć, a tak chciała widzieć wszystko!...

Św. Mikołaj już kołysał się na ciemnym czubku świerka; u stóp jego drżały, poruszane za najlżejszym szelestem, blaszane gwiazdki, rybki, złocone orzechy, festony migdałów i rodzenków.

— Już dosyć, mamo!... Teraz zapal świeczki i przyjdź do mnie!...

Zapaliła świeczki, biernie, jak automat, spełniając wolę dziecka.

Jakim cudem starczyło jej sił?... Jakim cudem mogła chodzić, rozumieć, słyszeć, ona, która teraz nic nie wiedziała, prócz tego, że za dzień, dwa dni, kto wie?—za chwilę może straci własne dziecko?

Śmierć czaiła się ze wszystkich kątów, z za ścian, z sufitu: czarna, groźna...

Lizia... to złotowłose, kruche, jak woskowa figurka, maleństwo, które tam leżało cicho pod zwojami gipiury i błękitem atłasów: jutro już może...

I co będzie z jej życiem?... Jak przetrwa?...

Od rozpalonych na gałęziach świerka cieniutkich różnokolorowych świeczek padły na twarz dziecka ruchome barwne światełka.

— Chodź tu do mnie, mamo!...

Uklękła przy białem łóżeczku.

— Widzisz... ty wiesz, że umrę niezadługo... słyszałam to wczoraj... dóktor mówił do tatusia, jak ty spałaś i jak oni myśleli, że ja śpię... Nie wiem, co to jest śmierć?... ale chciałabym zawsze tam, w niebie, mieć choinkę... Ty, mamusiu, będziesz co rok dla mnie stroiła drzewko? prawda?... Ja przecież będę widziała wszystko... To takie ładne!... A teraz zgaś już!... Nie mogę patrzeć na te światła... oczy bolą... ale... pamiętaj... strój... zawsze... drzewko!...

Odwróciła główkę: pierwszy raz... po tygodniu... sama...

Zkąd wzięła siły?... Dotąd... jak żywą lalkę... przekręcało ją się z boku na bok, układało na poduszkach, wsuwało w blade rączki obrazki, które oglądać chciała.

Odwróciła główkę.

— Pamiętaj... zawsze... zawsze... choinkę...

W głuchej ciszy, jak szelest śmierci, która już szła, rozległ się szept ten.

Przerwało go czyjeś łkanie.

To szlochał ojciec, wtulony w głąb pokoju.

Ciemno było, gdy Celina podniosła głowę z nad łóżka dziecka, przy którem klęczała, nie wiedząc, jak długo?...

Nad skamieniałą twarzyczką Lizi drgał tylko żółty blask gromnicy.

Wszystko inne tonęło w mroku.

Świerk, strojny, stał na środku, ale... jakby padła krepa na ubarwione gałęzie.

Cicho było. Łkała tylko przyczajona gdzieś w kącie pierś męzka, syczał płomień świecy żałobnej.

Nagle rozległ się szept tłumiony.

„Zdrowaś Marja, łaskiś pełna...“

Celina wytężyła suche, szkliste oczy.

Pod choinką majaczyły dwie ciemne, drobne sylwetki.

Przetarła powieki.

Dwa małe cienie zarysowały się wyraźniej.

Poznała: to były dzieci stróża: chłopiec i dziewczynka.

Przyszły pomodlić się za duszę „dobrej panienki".

Usunięto je, ale szept ich pozostał.

Celina nie słyszała łkania męża, ani kroków służby; nie widziała jakichś obcych ludzi, którzy—niewiadomo zkąd—wdarli się tutaj: słyszała i widziała tylko dzieci, klęczące pod drzewkiem.

Rok minął: długi, ciężki, jak życie samo.

Rok...

W ostatni dzień grudnia zamknęła się w pokoju Lizi.

Cień dziecka szedł do niej.

Czuła usta na ustach i drobne rączki dokoła szyi.

Tyle razy, tak wyraźnie wracało to!...

Wtem szept:

— Mamo... co rok... pamiętaj... choinkę...

Zerwała się, zapaliła światła, wezwała słubę, kazała biedz po drzewko.

Ubierała je całą noc.

Gdy było gotowe nazajutrz, zwołała biedne dzieci z całej kamienicy, zapaliła świece, kazała im bawić się, zdejmować pierniki, jabłuszka.

Powiedziała sobie:

— Lizia jest tu... z nimi...

I wtedy... pierwszy raz... rozpłakała się łzami, które poniosły z sobą tę jej niemoc dławiącą.

W kilka dni później sprzedała jakiś klejnot drogocenny: pamiątkę po prababkach.

— Za te pieniądze będzie ochrona...

Kiedy pierwszy raz weszła w jej progi, uczuła najwyraźniej Lizię przy sobie.

Czepiła się jej sukni i prowadziła ją do najbiedniejszych, najsmutniejszych dzieci.

— — — — — — — — — — —

„Mamo, co rok... pamiętaj... choinkę!...“

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Dziesięć lat minęło.

W ostatni dzień grudnia—dziś, jak zawsze—stroiła drzewko.

Jedna jasna chwila jej—ten świerk strojny, który — w wieczór noworoczny — niesie radość innym.

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Życie, jeżeli nie odbiera zmysłów w nagłej rozpaczy, samo leczy bóle i rany zadane...

TĘSKNOTA

Obcych szukamy...

— Patrz, słońce świeci, niebo takie czyste... Wyjdziemy... Dobrze?... Doktór kazał cię wyprowadzać w takie jasne południa.

Odstąpiła od okna, w którym zarysowywały się białe, jak łabędzie, szczyty Jungfrau, i podeszła do bladego chłopca, leżącego na kanapie z przymkniętemi oczyma.

Nie słyszał, czy nie chciał słyszeć, głosu matki: nic nie odpowiedział, najlżejszym ruchem nie dał znać, że pragnie wyjść, skąpać się w słońcu lipcowem.

Wolska pochyliła się nad nim.

Nie spał. Otworzył oczy, lecz, zobaczywszy ją, zamknął je napowrót.

Och, znała te jego wybiegi! Od kilku tygodni męczył ją niemi ciągle. W najsłoneczniejsze dni nie mogła go wyciągnąć z pokoju, w którym siedział, odwrócony od okna, jakgdyby nic

nie chciał widzieć prócz białych ścian i kilku wyblakłych oleodruków. Prośbą, pogróżką, że poskarży się przed doktorem, a najczęściej podstępną obietnicą, iż wyjadą stąd nazajutrz, przemagała upór i zmuszała go do wyjścia. Dziś jednak... co zrobić, żeby go wyprowadzić?...

Nie śmiała powiedzieć: „jutro wyjedziemy!" nie wierzył już: oszukiwała go tak od tygodnia. Doktora przestał się bać, odkąd ten, pokiwawszy głową, rzucił: „Na cierpienia ciała mogę radzić; wobec cierpień duszy jestem bezsilny... syn pani tęskni... ze szwajcarskich jezior i urwisk nie wykrzeszemy mu wsi polskiej..."

Więc... co teraz?... Wracać?...

Życie swoje odda za jego życie; swoje zdrowe płuca pozwoli wykrajać dla jego chorych zmęczonych; swoją krzepką siłę, krew swoją ciepłą wsączy w jego żyły... Nie było jednak lekarza, któryby mógł cud stworzyć i wymienić krew na krew, ciało na ciało.

W kraju powiedziano jej: „Góry wyleczą go; posiedź pani z chłopcem w Szwajcarji kilka lat, nie poznasz go: wróci olbrzym..."

Siedziała już rok blizko. Z początku było dobrze, do płuc dziecka dopłynęły nowe soki: oddychały swobodnie, lekko, nie męczył ich ruch szybszy, przestała męczyć rozmowa i gwałtowniejszy pęd powietrza. Siły wracały. Ciało mężniało.

Od dwóch miesięcy coś się popsuło. Ojciec kiedyś w liście wspomniał o cudnej polskiej wio-

śnie; siostra napisała o ziemi, która pachnie, o wschodzących leśnych konwaljach i storczykach, o jaskrach i rumiankach na łące, przesłała mu pęk ich, prosząc w zamian o różę alpejską.

Zerwał sam kilka małych kwiatków, włożył w kopertę i na kartce, którą wsunął, napisał: „Nie zazdrość mi tych róż, bo one tak nic do naszych nie podobne!... Nie zazdrość mi niczego: ani gór, ani jezior... Jedna zielona łąka nasza, której oko zmierzyć nie może, stokroć piękniejsza od skał i urwisk szwajcarskich. Nie zazdrość mi: mnie tu... w górach... zaczyna być duszno!...“

Do matki narzekał:

— Coś padło mi na piersi i gniecie; oddychać nie mogę...

Wyprowadzała go z wielkich, widnych pokojów i kazała mu patrzeć na szczyty białej Jungfrau, na przezroczysty, wiatrem rozwiewany, welon prostopadłej kaskady, w której tęczą łamał się blask słońca, na to wszystko, co zachwycało go dotąd.

Odwracał się od Jungfrau, i od tęczowych kaskad. Myślał: Tam pachną łany zboża i leśne storczyki i jaskry, rumianki, które zwiędły w liście siostry...

— Mamo, wróćmy, ja tu umrę!

Na serce matki padła bryła kolczasta.

Co zrobić? Szwajcarja miała wsączyć nowe życie w to młode, zbiedzone ciało. Szwajcarja miała je odrodzić...

Codzień błagał: „Mamo wróćmy!“ Codzień odpowiadała: „Dobrze, jutro, pojutrze, za dni kilka!“

Aż wreszcie dzisiaj zawstydziła się sama podstępnych swych obietnic i, nic już nie przyrzekając, nie chcąc zwodzić, prosiła:

— Wstań, wyjdziemy... Doktór kazał wyciągnąć cię na słońce...

Nie otwierał oczu, udawał, że śpi z twarzą odwróconą od okna, przez które majaczyły zdala śnieżne puchy Jungfrau.

Uklękła przed synem i, całując blade, jak opłatek, jego usta, błagała:

— Wstań, wyjdziemy!... Widzisz, tu tak duszno.

Nie poruszał się. Leżał na wznak z twarzą, pełną bólu, zarytego w spokój kamienny.

Pochyliła się głębiej. Ta jego martwota napełniła ją strachem. Jeszcze nigdy nie opierał się tak długo; jeszcze nigdy nie przybierał maski takiej przerażającej, biernej bezwładności.

— Otwórz oczy! Spojrzyj na mnie! Powiedz coś!

Nie otwierał oczu: milczał.

Zaczęła szlochać cicho, a wtedy wolno, wolniutko podniosły się jego powieki.

Wstał. Usiadł na kanapie, oparł łokcie o kolana i ukrył twarz w dłoniach.

Chwilę siedział bez ruchu, kąciki warg tylko drgały mu nerwowo.

Ten płacz matki!...

Zdawało się, że ktoś tępy nóż obraca mu w piersiach.

Co może zrobić dla niej?...

Choćby wyjął własne serce i w nią włożył,— nie pomógłby jej.

Cierpi więcej od niej, a cierpienie to zrozumiał tylko stary doktór.

„Z jezior szwajcarskich nie stworzą mu wsi polskiej...“

Polska wieś!...

Żeby choć we śnie zobaczyć ją!...

Ale... ilekroć zasypia, migają mu przed oczami tylko szerokie wstęgi rzek obulwarowanych, huczą w uszach wodospady, warczy rytmiczny stuk zębatych górskich kolejek.

Rok temu zachwycał się tem wszystkiem.

— Czemu u nas w kraju niema tego? — mówił do matki.

Dziś...

Zamknął oczy i wtulił głowę mocniej w dłonie.

Dziś... pachniały mu łąki mazowieckie, pachniała dziewanna, macierzanka, rumianek i wrzosy, a tu... miał tylko blade róże i bezwonne skulone szarotki.

Umrzeć w kraju!...

Gdy matka zwlekała wyjazd z dnia na dzień, postanowił nie wychodzić za próg mieszkania, żeby przemódz jej upór.

Dziś... miał przeleżeć do wieczora bez ru-

chu i zagrozić, że odtąd nie wstanie, chyba przed samym powrotem.

Płacz matki złamał upór. Im głośniej szlochała, tem bardziej, niby lód wiosenny, topniały jego zamiary i postanowienia. Aż nareszcie, pełen rezygnacji, szepnął:

— Więc wyjdźmy, mamo, jeżeli już tak chcesz koniecznie!

Zarzucił na siebie płaszcz lekki, wziął kij w rękę, kask korkowy na głowę i wyszedł. Cicho, obtarłszy łzy, podążyła za nim matka.

Zsunęli się w dolinę, gdzie przy wejściu powitała ich stroma, prostopadła skała. Wązką wstęgą sączy się z niej strumień górski, rozwiewany wiatrem, podobny do przezroczystego welonu z zębami koronek po brzegach. Słońce spojrzało na mglistą kaskadę ze szczytu południa i rozprysnęło się w niej setką tęcz cichych.

Chwilę trwało czarowne zjawisko. Gdy słońce zeszło z południa i blaski tęczowe zniknęły, wtedy na mokrą ścianę skały padły jakby zwoje szafirowej krepy: odblask nieba bez chmur. Nad tłem szafirów kołysał się welon srebrzysty, a w tych barwach srebra i ciemnego błękitu oko mimowoli szukało księżycowych promieni, które zdawały się drgać w przestworzach.

Wolska stanęła.

— Patrz, czy to nie cudne?—chciała spytać.

Ale chłopiec szedł chmurny, z głową zwie-

szoną na piersiach i oczyma, w dół spuszczonemi, nie chcąc nic widzieć.

Dała pokój, nie przerwała skupienia.

Dokoła nich przesuwał się tłum barwny: angielki w kortowych spodniczkach do kolan z przewieszonemi przez ramiona aparatami fotograficznemi; zdyszane niemki z tobołkami na plecach i olbrzymiemi kijami w rękach, grube, niezgrabne, podobne do szerokich bani w zmarszczonych u pasa i podniesionych na tasiemki, jak balkonowe markizy, spódnicach; turyści w kurtkach i kapeluszach strzeleckich, w pończochach do kolan i opiętych spodeńkach. Grupy furkających, jak motyle, cyklistów, szeregi powozów i breków rzucały na tło cichego obrazu górskiego odblask życia, któremu dziwiły się milczące skały i urwiska, dziwiło spokojne niebo i biała, jak panna młoda, Jungfrau.

Od strony małej chłopskiej chaty, zaczajonej gdzieś przy drodze, odzywał się co chwila głos rogu, którym ślepy starzec na znak stojącego przy nim chłopca witał przechodniów. Jednostajne, smętne dźwięki ginęły w przestrzeni; powtarzało je echo gór, parowów wąwozów. Zdawało się, że grał nie jeden ślepy starzec samotny, lecz grały szczyty i strome urwiska, i zręby granitów, i białe wodospady.

— Usiądź!... Posłuchajmy!... odezwała się Wolska, trącając syna.

Nie przystanął, nie odwrócił się nawet:

szedł, posępny, wprost przed siebie i zdawał się nie chwytać ani słów matki, ani muzyki ech górskich. W duszy miał inne dźwięki: słyszał wierzbową fujarkę nad oparem łąk mokrych: grał mały, obdarty Jasiek, którego nieraz sprowadzał do dworu i karmił ciastkami.

Raz jeszcze, raz tylko zobaczyć go, usłyszeć, nim umrze!...

Jak on się tu dusi!... A jak ta drobna, macierzyńska ręka, zamiast zdjąć kamień z jego piersi, wgniata go coraz, coraz mocniej!...

Umrze i... nie doczeka wierzbowej fujarki...

Grupy turystów mijały ich. Pełna śmiechu, nawoływań, rozmów była dolina. Dźwięczał i dźwięczał róg ślepego starca: odpowiadały mu góry, skały, wąwązy.

Blade piętnastoletnie chłopię słuch miało, jakby woskiem dla wrażeń zewnętrznych zalepiony: w piersiach, w głowie, w sercu grała mu tamta muzyka...

Matka pociągnęła go za ramię.

— Stasiu, musisz odpocząć!... rzuciła podniesionym, rozkazującym głosem.

Usiedli na ławce, skąpanej w słońcu, a gdy po godzinie Wolska, spojrzawszy na zegarek, zawołała: „czas wracać do domu!...“ wstał i bez słowa oporu—jak automat poszedł, za nią.

* * *

Słońce zachodziło. Czubki Jungfrau zalał gorący blask topazowy, w którym tylko z dwóch stron na boki wielkiej, białej masy kładły się cienie od szczytów. Stopniowo barwa jaskrawych topazów zaczęła przechodzić w róż coraz mocniejszy, aż naraz cała w pąsowych ogniach bengalskich stanęła Jungfrau. Paliły się czubki, do smukłych piramid podobne, paliły się piersi i ramiona dziewicze; z dwóch stron tylko padały długie, prostokątne cienie, podobne do plam czarnych na jasnym welonie.

Wtem — z za gór — nadpłynął szary obłok i zasłonił pożogę. Ognie pąsowe gasły w bladym, coraz bledszym ametyście, aż nad czubkami i linjami zboczy rozlała się toń perłowo-sina, podobna do wczesnego świtu. Malały dwa długie cienie, topniejąc powoli; nareszcie zniknęły w jednolitej, martwej, przedzmierzchowej szarości.

Nadszedł cichy wieczór.

Jungfrau, pożegnawszy słońce, okryła się białym płaszczem, od którego biła jasność w przestworza bezksiężycowej, szarej nocy.

Oparta twarzą o szybę okna, Wolska od godziny śledziła przeobrażanie się światła.

Dotąd... stał zawsze Staś przy jej boku. Razem wołali:

— Czy może być coś piękniejszego?...

I co wieczór czekali na palenie się gór.

Teraz... leżał, jak martwy: nie patrzył, nie zachwycał się...

Chora dusza, zbiedzone ciało, któremu powietrze Alp miało dać siły olbrzyma...

Co zrobić z nim?... Jak zbudzić go do życia?...

— — — — — — — — — — — —

Na dole, w sali hotelowej, grano nokturn Chopina, jeden z tych, w których najłzawiej szlocha tęsknota.

Prostą a wnikliwą melodją—przy akompanjamencie szarych, jak piaski mazowieckie, akordów—skarży się jakieś blade suchotnicze życie, że gasnąć musi daleko, daleko: pod obcem słońcem, na obcej ziemi...

I płacze, i szuka dawnych przedporannych świtów, dawnych zmierzchów wieczornych, kiedy nad stawem grały fujarki, a w trzcinach wodnych, pod szmaragdową rzęsą rachotały żaby.

Płacze, szuka, prosi:

— Tam umrzeć!...

A gdy nikt nie słucha, milknie skarga; zrywa się bunt.

W powikłanych, drapieżnych akordach, w mętnych, burzliwie zawrotnych pasażach, w chaosie rozdźwięków, w tempie rubato i przerzucanej polifonji krzyczy harda, oszalała dusza.

Depczą ją, wiążą sznurami do ziemi; nie daje się: chce żyć, che *tam* żyć...

Ale... sił braknie: gaśnie energja; przycicha gniewne rubato; mdleją harde rozdźwięki; odchodzi — bez odwrotu — burza akordów. Zwiewną

skargą bólu, który wyczerpał się sam w sobie, poczyna pierwsza prosta a wnikliwa melodja — pieśń palącej, beznadziejnej tęsknoty...

Sentymentalna angielka nie rozumiała, co gra, ale grała rzewnie, smętnie, z rozżaleniem.

A na serce Wolskiej padła nagle jakby łza gorąca.

W dźwiękach Chopina rozjęczała się skarga jej dziecka.

Naraz między nim a sobą uczuła jakąś nić magiczną, po której — wprost z mózgu bladego chłopca—runęły na nią miraże zbiedzonych jego myśli. Owiał ją zapach skoszonej polskiej łąki i—do zawrotu—uderzyła woń rumianków, mięty, macierzanki. W uszach rozdźwięczała fujarka; w oczach powlokły się opary nad szachownicą cichej bezmiernej płaszczyzny.

I ogarnęła ją paląca tęsknota.

I zrozumiała Stasia; zrozumiała bezmiar jego krzywdy...

Uklękła przy nim; wtuliła się twarzą w obie jego dłonie.

— Nie miałam nad tobą litości... przebacz!... jutro wracamy...

A jemu na twarz wystąpił blady rumieniec. Otworzył oczy, pełen niewiary.

— Oszukujesz mnie, jak codzień dotąd?...

— Nie, Stasiu, jedziemy naprawdę. Za chwilę spakuję kufer podróżny...

MĘŻOWI MOJEMU

Wspólne wspomnienie.

O POLSKIE DZIECI

St. Malo — małe miasteczko w północnej Bretanii, cel pielgrzymek dziesiątków tysięcy turystów i letników, zjeżdżających nad kanał La Manche w czasie kąpielowym... Co kwadrans duże parowce i małe zwinne stateczki, t. zw. „Wedetki“ przywożą ich tutaj do portu La Cale w Dinard, zabierając gości z drugiej strony Szmaragdowego wybrzeża (Côte d'Emeraude) z St. Servan, Paramé, Rotheneuf, Cancale itp.

14-go lipca, w święto narodowe Francji, jedna z wedetek wraz z grupą Anglików i Amerykanów, zalewających Bretanię tak, że giną wśród nich Francuzi, wysadziła i nas w porcie stolicy wybrzeża, gdzie przed laty przyszedł na świat Châteaubriand, którego tu przypomina wszystko: i plac i hotel jego nazwiska, i mauzoleum pamiątek po nim i—wreszcie—cicha mogiła na zboczu skalistej wysepki: nad granitową płytą

wielki żelazny krzyż, pod którym — przy szumie fal i podmuchach wichru—śpi poeta.

Mijamy cichą wysepkę — grobowiec, gdzie w czasie odpływu roi się od zwiedzających, zwłaszcza Anglików — bez Baedeckerów (to wyszło z mody), z aparatami fotograficznemi za to w rękach; mijamy jedną z ośmiu bram, prowadzących do miasta; zostawiamy za sobą wysokie mury warowne, jedną z osobliwości St. Malo, zabytek XIII w., odnowiony niedawno, i wchodzimy w wązkie, starannie wybrukowane uliczki, gdzie walą, mijają się, nacierają na siebie fale przechodniów: pstry, różnobarwny, gwarny tłum, napływający ze wszystkich stron dla zapowiedzianych wieczorem uroczystości: ogni bengalskich, muzyki, widowisk.

Sklepy, mimo największego dorocznego święta, święta Rzeczypospolitej, otwarte. Handel idzie, wystawy pełne sezonowych drobiazgów; każdy zatrzymuje się przed niemi i każdy, wstąpiwszy na chwilę, wraca po godzinie, obładowany paczkami.

Przypominamy sobie, że trzeba zrobić sprawunek konieczny: buciki z gumowemi podeszwami, którychby nie niszczył mokry piasek wybrzeża.

Wstępujemy do sklepu z obuwiem. Podaje nam je niemłoda kobieta o szerokiej, płaskiej twarzy z gładko nad czołem przyczesanemi włosami, w prostej, czarnej sukni, figurą, ruchami i całem obejściem dziwnie odbijająca od typu

ruchliwych zwinnych Francuzek, które obowiązującą w sklepie czarną suknię tak jakoś włożyć umieją, że mają pozór dam rautowych.

— Pani nie ma francuzkiego akcentu... — zwracam się do uprzejmej kupcowej.

Głębokie, ciche westchnienie.

— Ah, tak; nie jestem Francuzką. Od dwudziestu lat wprawdzie mieszkam tutaj, ale do tej pory ani do zwyczajów, ani do miejsca, ani do ludzi przywyknąć nie mogę!... Dzieci moje — to już Francuzi; wnuki nie będą nawet wiedziały, że mają trochę innej krwi w żyłach, ale ja... mnie tu żyć trudno!...

— Miejsce rodzinne pani?

— Niemcy—Badeńskie — I stamtąd pochodzę, tambym chciała umrzeć, ale wiem, że nigdy już do swoich nie wrócę!... W ciągu 20-tu lat kilka razy zaledwie może mówiłam po niemiecku... Czasami przejezdni, ale rzadko... Najwięcej tu Anglików... Mąż mój trochę zna nasz język, ale go nie lubi... Zresztą, nikt mnie tu nie rozumie...

Łzy stanęły jej w oczach.

Żal mi się zrobiło starej kobiety. Przemówiłam do niej po niemiecku.

Twarz jej zajaśniała radością. Zaczęła mówić prędko, jak gdyby w obawie, że nie zdąży wyrzucić z siebie wszystkiego, co sama chciała usłyszeć w ojczystej swej mowie.

Trzepała, jak podlotek, o stosunkach swoich, o tem, jak nie może zbliżyć się z rodziną męża,

bo—wszyscy tam nie znoszą Niemców; o wnuczkach, z których jedna dobra, posłuszna, słodka i miła, zupełnie, jak niemieckie dziecko, a druga — niesforna, kapryśna, krnąbrna: prawdziwy czort francuski... Dowiedziałam się o okolicznościach, które ją sprowadziły do Francji i o tych, które ją rzuciły w objęcia męża; poznałam najdokładniej dzieje rozwoju „interesu“, wtajemniczyłam się w najdrobniejsze szczegóły życia ludzi, z którymi nie zetknę się już pewnie nigdy...

— Zrobiłam dla pani wyjątek, że mówię po niemiecku — odzywam się wreszcie, gdy fala jej zwierzeń przycichła. — Od czasu, kiedy Niemcy zaczęli narzucać braciom naszym z pod zaboru pruskiego język swój przemocą, nie znosimy go wszyscy i uznajemy tylko w literaturze...

Spojrzała mi w oczy głęboko, badawczo.

— Pani Polka?

— Tak.

— Widzi pani: wy cierpicie przez tamtych, a ja... przez was...

— Co to znaczy?... Nie rozumiem...

Łzy napłynęły jej do oczów; rozszlochała się głośno. Po chwili:

— Jak zabronili waszym dzieciom mówić pacierz polski i jak teraz zaczęli wam ziemię odbierać, to już przyszły dla mnie czasy najgorsze. Dokuczano mi tak, że chyba powiesić się, albo utopić... Ciągłe listy anonimowe, a w nich wymyślanie, że takich podłych mam rodaków... Zięć

mój ma też sklep w St. Malo — ten najgorszy... Napisał tak, że mój mąż teraz czyha na niego, żeby go zbić, bo takich grubiaństw przebaczyć nie można... Więc już od dwóch lat chowa się przed nim i córka moja tylko ukradkiem, żeby on o tem nie wiedział, przychodzi do mnie... Nie módz widzieć rodzonego dziecka i... przez takie rzeczy... Badeńczycy... przecież oni nie należą do tego, a choćby... to... com ja temu winna? Ale... czy oni się zastanawiają?... Jak zwierzęta, aby tylko gryźć... I coraz gorzej, coraz gorzej!...

Zaczęła płakać na dobre. Nie wiedziałam, jak ją pocieszać?... Stałam bezradna.

Wtem—wszedł mąż jej, przywitał nas uprzejmie, zawinął obuwie przygotowane przez żonę. Wręczywszy nam paczki, zaczął zamykać sklep szybko.

— Dziś święto narodowe... na placu zabawy: muzyka, ognie bengalskie, rakiety... trzeba być na wszystkiem... już się zaczyna...—rzucił nam z wesołą francuską swobodą.

Pożegnaliśmy się z nim i jego spłakaną małżonką, której głos żałosny, jak zawodzenie ściganej mewy, brzmiał mi w uszach długo.

St. Malo, stolica Szmaragdowego wybrzeża, muzeum starobretońskich pamiątek, punkt zborny cudzoziemców ze wszystkich stron świata, St. Malo i... wojna o polskie dzieci...

W głowie mi się to pomieścić nie mogło. A jednak—tak było... Opowiedziałam fakt autentyczny.

NINIE ALEKSANDROWICZ
HOMOLACSOWEJ.

ŚPIĄ JESZCZE

Byłeś, czytelniku kiedy na słowackiej ziemi?

Dobry, cichy, pracowity lud. Typy do naszych mazurskich zbliżone. Te same twarze, łagodnie zaokrąglone, oczy szeroko otwarte, szczere, poczciwe; prostota i serdeczność w obejściu. Dzieci tylko bez krzywych nóżek i wzdętych brzuszków: gibkie, smukłe, rozbawione, z szafirem dojrzałych chabrów albo błękitem niezapominajek w oczach, z konopiastą, rozwianą czupryną, z ustami barwy ciemnego korala; w zgrzebnych koszulach, starsze z małemi na plecach, jak u nas—jak u nas—zakradające się po cudzy owoc w sadzie.

Na tym szmacie pagórków lesistych i dolin urodzajnych, którym zawładnęły Węgry północne, w promieniu kilkudziesięciu mil dokoła słynnej z cygańskiej muzyki i pałacu hr. Andrassy'ego Homonny, nie spotkasz mężczyzn dojrzałych: kobiety tylko, starcy, dziewczyny, dzieci i trochę

młodzieży męskiej, tych, co jeszcze nie zdążyli odsłużyć wojska i czekają na pierwsze wezwanie... Kto odbył powinność swoją, i żonaci i nieżonaci, dzietni i bezdzietni, gospodarze i bezrolni, więksi i mniejsi właściciele — wszystko to w Ameryce, na zarobku. Żaden nie zostaje, chyba rachityk, kaleka, ale każdy wraca, a—nim wróci—z punktualnością automatu przysyła pieniądze do banków.

Wykupywać ziemię od Węgrów!—po to jedzie Słowak za ocean. Bezwiedny, nieuświadomiony instykt samoobrony pędzi go, niby mrówkę pracowitą, która toczy się na skraj lasu po źdźbło trawy do podwalin mrowiska.

Najpierw wydrzeć ziemię pogromcy, wgryźć się w nią mocno krwią roboczą i krzykiem woli, oprzeć się na niej, jak na twardym granicie, później otwarty bój...

Dusi Słowaka przemoc węgra: niczem brutalna siła Niemców, tych Hunnów nowożytnych...

Wygłasza szumne ody na temat wolności i równości praw narodowych ten sam krewki, nieugięty, bezwzględny w żądaniach swoich potomek Deaków, Rakoczych, Kossuthów, który pięścią zaborczą wydziera z gardła język słowackiemu dziecku i każe mu być „Madjarem“. Od wolnościowych mów węgierskich trzęsą się mury parlamentu na Ringach wiedeńskich, a w pachnących dolinach wsi słowackich płakałby lud pod kleszczami samowoli węgierskich panów i władców, gdyby ją rozumiał...

Śpi jeszcze chłop—Słowak.

— Nie idziecie do Wiednia ze skargą, że dzieciom waszym nie wolno uczyć się i mówić do siebie w szkole po słowacku?... że biją je za to albo... pędzą do kozy...

Chłop, któremu zadałam to pytanie, stary, siwy, z gołębim spojrzeniem szczerych dobrych oczów, pomyślał chwilę; wreszcie, wypuściwszy z ust fajkę, zawodząc, miękko, śpiewnie rzucił:

— A któżby tam miał takie pretensje?... Każą po madjarsku, to uczy się dziecko w tej mowie. Lepiej, niż wcale... Po słowacku, to mu i w chałupie matka albo choćby i ja sam, dziadek, pokażę... Jakby nie pokazał, toby i samo przyszło, że to swój język, a madjarski... to już tego w chałupie nie złapie, więc niech go tam w szkole nauczą...

Było niedzielne popołudnie. Młodzież bawiła się w karczmie: dziewczyny, kraśne, w bufiastych spódnicach, niby w krynolinach, z zaplecionemi w najstaranniejszą torsadę szerokości pięciu palców warkoczami; chłopaki w obcisłych, sutażem naszywanych ubraniach i czaplich piórach przy kapeluszach, ustawieni w wielkie koło parami, obracający się drobniutkiem posunięciem w kółko, z przyśpiewkami i przytupywaniem. Starsi, pykając fajki, patrzyli na nich.

— Wszyscyście tego samego zdania, co ten gospodarz?—spytałam najpoważniejszą grupę.

— A jakżeby nie, wielkomożna[1]) pani?...

— Że napisy wszędzie madjarskie, że na poczcie ani u notarjusza[2]) nie wolno wam gadać w waszym języku, to też znosicie spokojnie?...

— Hej, hej[3]), wielkomożna pani, aby ziemia była, to się tam Węgrom nie damy...

I jeden przez drugiego zaczęli opowiadać, jak to syn tego, zięć tamtego wykupił szmat gruntu za „ameryckie“ pieniądze.

Dusza ich śpi; nie czują pięści Hunnów na sobie, ale narodowy instynkt samozachowawczy, bezwiedne poczucie przyszłych powołań robi swoje, gnając ich z żywiołową siłą po pieniądze, każąc im wracać z niemi i wysadzać z siodła faryzeuszów—samowładców.

Są w stadjum nieuświadomionej pracy organicznej, tej bardzo jeszcze pierwotnej. Chodzi im o ziemię i plon: reszta—sama przyjdzie...

Jak lunatyk, pędzi chłop słowacki do Ameryki. Nieraz żonę bierze z sobą. Zarabia tam, trzymając swojaków na stancji: siedem dolarów miesięcznie od każdego... zbiera się coś z tego, a oszczędza, żeby jeden grosz nie przepadł...

Aby starczyło po powrocie na wydarcie Madjarom z gardła morgi, dwóch, trzech i więcej, jaknajwięcej gruntu...

---

[1]) Po słowacku: wielmożna.

[2]) To co u nas wójt.

[3]) Tak, tak.

Kelcse koło Homonny w 1909 r.

P. ALINIE GLASSOWEJ —

jej gorąco współczującemu sercu.

SPADŁ Z ETATU

Noc bez gwiazd patrzyła w szyby okien, gdy Horski, wszedłszy do swego pokoju, zamknął drzwi na klucz, wyciągnął z kieszeni palta jakiś w cienką bibułę owinięty, flakon, postawił go na stole, usiadł, żeby odpocząć, a potem — wstał nagle, zapalił świecę i stanął przed niewielkiem ściennem zwierciadłem.

Jak w kogoś obcego, wpatrzył się w siebie: bystro, pytająco, wnikliwie.

Oczy—trochę zmęczone, ale wzrok stalowy, twardy.

Nazywano go „żelaznym człowiekiem"...

W ciągu lat czterdziestu nie ugiął się przed naporem żadnej zewnętrznej pobudki, usiłującej zawrócić go z drogi wyżłobionych siłą samorzutnego nakazu i dojrzałego zrozumienia wskaźników.

Był — względem siebie i innych — Katonem niezłomnych, jak mur granitu, imperatywów pracy.

Był radosnym i hojnym sędzią czujnych wysiłków trudu roboczego, nieubłaganym pogromcą polskiej opieszałości, polskich kompromisów z bezwładem lenistwa, z lekkomyślnością pustego dyletantyzmu, z bagatelizowaniem wszechmocnych praw obowiązku.

Nie opuścił ani jednego dnia służby; nie zlekceważył najmniej znaczącego terminu, nie chybił przesłankom sumienia, które—przez ogrójce wysiłków—wlokły go do szarych świątyń, gdzie jedyną modlitwą, jedynym aktem ducha, zbierającego myśli, jak soczewka promienie, w białą toń upojeń—był spokój dokonanego czynu i wiara w jego konieczność, w konieczność *takich* ołtarzy—dźwigni społecznych.

— — — — — — — — — — —

W ciągu lat czterdziestu...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Aż nareszcie — któregoś ranka—obcy człowiek usiadł przy jego biurku, a jemu—w rozkazie dziennym, od którego krew ukropem przelała się w mózgu, — rzucono krótki, jak śmignięcie biczyskiem, a nieodwołalny, jak twierdze dzieł spełnionych, wyrok:

„Ostawlen za sztatom“...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Przez lat czterdzieści co rano — ze snu — gładząc szczotką włosy, stawał przed lustrem. Ale wzrok jego ześlizgiwał się z gładkiej tafli szkła, jak z prześwieconego obrazem bez treści ekranu.

Nie widział siebie.

Dziś dopiero—świadomie—spostrzegał:

Oczy ma zmęczone, ale wzrok stalowy, twardy. Usta — zaciśnięte wyrazem hardej woli, która stała się odruchem, głowę—osadzoną mocno i prosto na sprężystych ramionach.

Tylko... siwy jest, siwiuteńki, jak gołąb i... dlatego może...

Zmarszczył brwi krzaczaste przypomnieniem scen, uwag, rozmów, obrazów, które — chodząc od miesiąca po biurach dyrektorów, naczelników i kierowników wielkich przedsiębiorstw w poszukiwaniu roboty, — wywoływał dokoła siebie nieustannie.

Najczęściej—krótkie zmierzenie go od stóp do głowy twardym, badawczym, nieubłaganym wzrokiem i celne, jak cięcia szpicrutą, kłamstwa obietnic.

Gdy usta mówiły:

— Poczekajmy... zobaczymy... nie tak zaraz jeszcze... kto wie: może... tylu potrzebujących pracy...

Oczy dopowiadały:

— Stary jesteś: głowa zanadto wrosła ci w jedno jarzmo, żebyś mógł dźwignąć drugie...

— — — — — — — — — — —

Siwy, siwiuteńki!...

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Rozpalił dwa światła, wziął ze stołu przyniesiony przed chwilą flakon, odwinął bibułki, odkorkował i szybko, stojąc przed zwierciadłem, zaczął nacierać głowę, wąsy, brodę lepkim, pachnącym płynem.

Uczerni się. Będzie pośmiewiskiem dla tych, co go znali dotąd, ale—może dostanie pracę od nieznajomych, obcych...

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Noc bez gwiazd patrzyła w okna.

Ciszę mroku przerywał szelest nacieranych pośpiesznie włosów i—tępy, suchy kaszel z drugiego pokoju.

— Zośka... znowu!...

Postawił flakon, chciał otworzyć drzwi i wejść tam, do niej, zmierzyć gorączkę, zbadać puls.

Ale przypomniał sobie: Śmieszny musi być w tej chwili ze zwichrzoną brodą, najeżonemi wąsami.

Dla niej to wszystko, dla tego małego, suchotami zagrożonego biedactwa, które doktór

kazał natychmiast wysłać w góry, żeby... uratować młode życie...

Zośka: dla niej i... dla „*niego*“...

Na piersiach zaszeleściał mu list syna.

Z tajg syberyjskich, zesłany za rok 1905, prosił o pieniądze.

Pośle jutro, ale... co potem?...

Natarł już całą głowę i... bał się spojrzeć w lustro.

Czuje: nie spojrzy nigdy...

— — — — — — — — — — —

Zgasił lampę i przy świecy tylko zasiadł w fotelu.

Myślał:

— A teraz... te zmarszczki...

Dzień po dniu, godzina po godzinie ryły się piętnem znoju roboczego, klątwą gnanego od jarzma do jarzma parjasa...

Czem je zmaże?... Czem wygładzi twarz starczą?...

Kaszel Zośki przycichał, to znowu porywał się tępem, zduszonem, rytmicznem staccatem, jak klawisz, uderzany miarowo, uparcie, z przydechem tłumika; jak mała srebrna, czarną krepą zasnuta sygnaturka, którą porusza ręka dziecka.

Krótki, przerywany, cichy, nie męczył—zdawało się, a jednak—szły od niego skargi i szlochy, gwoździem wbijane w pierś Horskiego.

Jak gdyby wleczono go na krzyż i rozpinano

żywego; jak gdyby cierniem opasywano ręce, biodra, głowę, z której sączyła się krew.

W każde włókno nerwów, w każdy odruch mięśni, w każdą drobiną czucia wsączał się ten głos z za ściany. Parzył ukropem, piekł płonącem zarzewiem lub—ścinał i mroził soplami lodu.

Bolały od niego ramiona, plecy, skronie; przywalały się do ziemi i kurczyły w męce, jak pod gradem kul z ołowiu, pod ciężarem wozów ładownych, pod naporem bezrozumnych tłoczni,—kości „żelaznego człowieka". Padał on sam, wleczony na ogrójce, bez siły, bez władzy, bez możności protestu...

— — — — — — — — — — —

Góry tylko mogły ocalić to młode życie...

— — — — — — — — — — —

Skulił się w fotelu, oparł łokcie na kolanach, przywarł rękami do twarzy i liczył:

— Tysiąc pięćset rubli dla Zośki... pięćset a choćby tylko trzysta tam, do tajg Sybiru... Żona, on, druga córka...

Bilans nie wytrzymywał rachunku.

Jeżeli nie dostanie pracy...

— — — — — — — — — — —

Kaszel Zośki porwał się już nie zdławionem staccatem, ale—furją oszalałych płuc.

Horski podskoczył do drzwi; chciał wejść do dziecka swego.

Ale—znowu zawrócił.

Coby powiedziała Zośka na widok uczernionych jego włosów?...

Co... żona, która siedzi przy niej?...

Jakby murem kolczastym oddzieliło go od nich.

Strach, wstyd i lęk trzymały u progu „żelaznego“ człowieka, który dotąd nie ugiął się przed nikim i przed niczem.

P. WANDZIE STARZYŃSKIEJ
I ANNIE JAKIMIAKOWEJ —

POŻAR WIĘZIENIA

Słońce szybko na smugach zmroku i jesiennych cieni chyliło się ku zachodowi.

Zegar więzienny wskazywał czwartą: za chwilę miał skończyć się spacer kobiet, parami, niektóre z dziećmi na ręku, chodzących dokoła ciasnego, wąskiego podwórka, zalanego wodą z rozbitym pyłem wapiennym.

W pierwszej parze, zawsze rej wodząc, szła, wymachując zaciśniętą w kułak pięścią, najgłośniejsza, najśmielsza i najrezolutniejsza ze wszystkich Potemska, dziesięciokrotna recydywistka, złodziejka kieszonkowa, dla której więzienie było miejscem wypoczynku po ryzykownej i mozolnej „robocie na mieście“. Wysoka, atletyczna, o ruchach wymusztrowanego w rocie żołnierza, oczy miała zezowate, płasko, jedno niżej od drugiego osadzone. Mętne, jakby wymokłe źrenice, okolone brudno-szaremi tęczówkami, patrzyły zawsze

ukośnie, świecąc wąskiemi, żółtemi białkami. Szara, sukienna spódnica opadała z płaskich, męskich niemal bioder na stopy kilkoma, porwanemi w strzępy, fałdami. Końce zbakierowanego czepka wiewały, jak skrzydła wiatraka. Płytkie, wojłokowe pantofle, spadając z nóg, kłapały o mokry asfalt podwórka. Mówiąc szybko, niewyraźnie, wymachiwała coraz gwałtowniej pięścią i podnosiła głos coraz silniej, aż nareszcie wołanie dyżurnego strażnika: „Potemska, ciszej!“ uspokoiło ją na chwilę.

Obrzuciwszy go spojrzeniem jaszczurki, która radaby odgryźć wrogowi co najmniej koniec nosa, syknęła przez zęby:

— Poczekaj, bestjo, odpłacę ja ci się na swobodzie!...

Na razie zamilkła, wkrótce jednak przyciszonym już nieco głosem i nie tak gwałtownie, jak przedtem, rozpoczęła na nowo opowiadanie swoje o ostatniem zapuszczeniu ręki „w dolinę“ [1]), na którem przyłapał ją stójkowy.

Towarzyszka jej, Szulcowa, niska, szczupła, czterdziestoletnia może, ryżawa blondynka, słuchała spokojnie, nie odzywając się nic prawie, jak gdyby opowiadanie „herszta“ nie obchodziło jej zgoła.

Mówiła wogóle niewiele. Nikomu, nawet

---

[1]) Kieszeń.

towarzyszkom, z któremi spała w jednym numerze, nie zwierzała się z przeszłości swej nigdy.

Pracowita, pierwsza zawsze, czy to w szwalni, czy w prasowalni, lub przy warsztacie więziennym, nie cofała się przed najcięższą robotą. Od świtu do nocy mogła siedzieć przy igle, lub maszynie. Zarabiała trzy razy więcej od innych, za to raz na miesiąc, każdego pierwszego, za całego rubla strażnik przynosił jej „wałówkę“ [1]).

— Że też z takim mólem w kościach chce jej się myszkować po sklepach! —mówiły, ruszając ramionami, aresztantki.

Nie lubiły jej: psuła im interesy. Naczelnikowa stawiała ją za wzór wszystkim. Uszyła jej całą wyprawę dla córki. Przez dwie godziny wyhaftowała taki monogram, nad jakim inna siedziałaby pół dnia, jeżeli nie dzień cały.

Umiała wszystko. Ze skrawków zrobiła nieraz coś takiego, co w podziw wprawiało najwytrawniejszą szwaczkę. Towarzyszki nazywały ją „milczkiem“, mówiły między sobą, że jest chytra i mądra, że przed śmiercią jeszcze kupi sobie powóz i kamienicę.

Potemska, która chorowała, nie nagadawszy się i nie wykrzyczawszy codzień do syta, z nią najczęściej chodziła, ona bowiem, nic nie mó-

---

[1]) Jedzenie, otrzymywane z miasta, bądź za pieniądze więźniów, bądź w oznaczonym przez regulamin czasie, jakości i ilości od znajomych i krewnych.

wiąc sama, pozwalała jej mleć językiem, co się zmieści. Czysta, zręczna, pełna godności w ruchach, suknię, czepek, fartuch i kaftan więzienny tak miała dopasowane do siebie, że wyglądała w nich raczej na spokojną, taktowną lady angielską, aniżeli na aresztantkę, recydywistkę, już czterokrotną złodziejkę sklepową.

W drugiej parze postępowała szybko, kołysząc się z nogi na nogę, niska, brudna, obdarta żydówka, Chaja Silberkranc, przekupka, siedząca już po raz piętnasty w więzieniu za oszustwa na wadze i przy wydawaniu reszty z pieniędzy. Czarna, o dużej, niekształtnej głowie i płaskiej, wstrętnej zmysłowej twarzy, o pełnych, obwisłych piersiach, uosabiała bezwstyd i rozpustę. Nikt nie słyszał jej nigdy mówiącej przyzwoicie. W każdem słowie przebijał cynizm ulicznicy. Zamiatając rynsztoki podwórzowe, była w swoim żywiole. Obryzgana błotem, zanieczyszczona pyłem, śpiewała na całe gardło lubieżne piosenki, aż strażnik klął nieraz, grożąc jej ciemnią [1]).

Obcowała najchętniej z kilkoma podobnemi do siebie żydówkami, brudnemi, cynicznemi, wyuzdanemi, jak ona, z piętnem rozpusty i upodlenia na wzdętych szerokich policzkach, na obwisłych, spieczonych wargach i niskich, płaskich,

---

[1]) Wąska, mała cela, bez okien o asfaltowej posadzce, gdzie aresztantki o chlebie i wodzie odsiadują wyznaczoną karę.

ściętych ukośnie czołach. Mętne ich oczy rzucały błysk żarłocznych, nienasyconych kocic w chwili, gdy na podwórzu rozlegał się śpiew Chai Silberkranc lub opowiadanie najchytrzejszej ze wszystkich złodziejek, Zdrojowskiej, którą po kilkudziesięciu zaledwie kradzieżach zdołano przyłapać, oddać pod śledztwo i osadzić w więzieniu.

Z rękami w kieszeniach, w brudnych czepkach, w obdartych, tłuszczem zasmarowanych kaftanach, kłapiąc spadającemi z nóg pantoflami, chodziły razem po podwórku. Ochrypłe, przepite ich głosy odbijały się echem o mury więzienia, niknąc w głębi wąskich korytarzy, cel i izb wewnętrznych.

Pogodny dzień świąteczny wywabił na podwórze wszystkie niemal aresztantki. Wyległa nawet i tak zwana arystokracja, te, którym dozwolone było nie korzystać z obowiązkowego spaceru: fałszerka marek, Dziembińska, wysoka, szczupła, o pięknej niegdyś, szlachetnej twarzy, delikatnych rysach, gładko pod czepkiem przyczesanych włosach, zapatrzona błędnie przed siebie, podobna raczej do cienia, mknącego po podwórzu wolno, cicho, majestatycznie, aniżeli do żywej, w szare suknie więzienne wciśniętej istoty ludzkiej. Resztki nędzą i zgryzotą wycieńczonego ciała przeżywały ducha, który uleciał już w przestrzeń daleką, tę, jaką ścigały nieprzytomne oczy winowajczyni, znaglonej przez nędzę drogich sercu osób do upadku.

Tuż obok niej, w milczeniu, z głową, zwieszoną na piersiach, postępowała spokojnie Mańka, blada, smutna ośmnastoletnia dziewczyna, którą spotkało nieszczęście. Panicz uwiódł ją. Kochała go bardzo. Byłaby skoczyła w ogień, w wodę dla niego. Uwiódł ją i porzucił. Została sama, bezradna, z hańbą swoją.

Gdy dziecko jej i panicza przyszło na świat, nieprzytomna z bólu i wstydu, schwyciła je i zdusiła rozpalonemi dłońmi małe gardziołko.

Kilka słabych zaledwie jęków wydał chłopiec, a ona trzy dni i trzy noce potem leżała w majaczeniach gorączki. Szukała dziecka, oglądała się za niem, słyszała wyraźnie pisk jego, pisk duszonego w ręku kociaka: nie odżyło już. Ją, pełną hańby, oddano pod sąd, gdy wstała. Kochanek jeździł do milionowej panny w konkury, kiedy ona schła, marniała w kaźni.

Trudno jej było znosić duszne powietrze więziennej izby i hałaśliwe swary towarzyszek. Nie umiała kłócić się z niemi; dostawała spazmów, gdy która z nich, zazdroszcząc jej czystych, białych fartuchów i czepków ze wstawkami, obrzucała ją gradem złorzeczeń. Więzienie męczyło ją bardzo. Zdawało się jej, że żółte mury gmachu walą się na nią: taki ciężar na piersiach, taki ból w skroniach i głowie, czuła chwilami. Tchu jej brakło. Rwało się coś wewnątrz niej do swobody, a czarne kraty okien przypominały klątwę niewoli.

Z wiosną miała być zesłana. O, gdybyż to przyszło jak najprędzej!

Nieraz, gdy usypiała, majaczyły w wyobraźni jej wielkie, czarne moczary i trzęsawiska, nad niemi niebo ołowiane, dokoła głucha, przerażająca pustka. Szaro, ponuro, smutno. Mroczny obraz kołował długo wirowym ruchem, sprowadzając wreszcie sen na ciężkie, odrętwiałe powieki.

Syberja!... Tam... spokój i wielkie, otwarte przestrzenie; tam... bezmiar pustki, ale... może wreszcie cisza zapomnienia...

Mańka z Dziembińską przystały do siebie odrazu: jedna—już nie z tego świata, zapatrzona w dal nieskończoną, w kres twardego bytu ziemskiego; druga — mocno w życiu tkwiąca, pełna lęku przed niewiadomem jutrem, które—kto wie—może jest dalszą karą i dalszą pokutą za grzech dzieciobójstwa, za noc szału, za bezwład sumienia!...

Ale obie... majestatem bólu w bractwo odradzających się duchów wkupione, obie dojrzałych zrozumień pełne, obie jutrzni przebaczenia blizkie!...

Par, spacerujących w koło, dopełniały cztery fałszerki pieniędzy, żydówki. Dwie z nich prowadziły za ręce dziewczynki: jedna — trzyletnią, druga czteroletnią, których duże habrowe wystraszone oczy biegły pytająco po chudych, ziemistych, cynicznie wykrzywionych twarzach aresztantek.

Czerstwe, rumiane, od paru miesięcy zaledwie powietrzem i strawą więzienną karmione, nie zdążyły jeszcze stracić zdrowej cery dzieci swobodnych. Nieśmiałe ruchy i drobne, niepewne kroki zdradzały lęk przed niewolą i jakby wstyd za winy matek.

Dwie aresztantki, idąc za niemi, wzywały je po imieniu:

— Gieniusiu i Andziu!...

Jedna pokazywała jakąś groszową zabawkę; druga wabiła pstrym gałgankiem.

Ale dzieci, wtuliwszy główki w kolana matek, zaczęły je odpędzać rączkami i rozpłakały się głośno.

Gwar na podwórzu wzrastał. Potemska, nie bacząc na przestrogi strażnika, rozprawiała znowu głośno i wymachiwała rękami. Szulcowa usunęła się od niej, by w razie powtórnej groźby dyżurnego część kary nie spadła na nią. Za to z innej pary wymknęła się na front Mackiewiczowa, nizka, blada brunetka o wązkich, wydętych wargach, małych zaczerwienionych oczach, brwiach, zarysowanych ciemnemi łukami na płaskiem czole, mniej szara, mniej ziemista od innych, lecz bardziej nalana, obrzękła, jak gdyby między skórę a mięśnie twarzy ktoś wstrzyknął jej warstwę bezbarwnego płynu.

Zamknięta już po raz ósmy za złodziejstwo, wypierała się go, zwalając winę na męża, który,

jakoby bez wiedzy jej przechowywał w domu kradzione rzeczy.

Towarzyszki mówiły:

— Nie wal jury [1]), bo nikt ci i tak nie uwierzy...

Ona wszakże nie przestawała bronić swej niewinności.

Wzburzona teraz czemś niezwykłem, przysunąwszy się do Potemskiej, która wymachiwała bez ustanku rękami i mówiła głośno, pomimo, iż Szulcowa odeszła od niej już dawno i nikt jej nie słuchał, szepnęła:

— A wiecie wy: Gajdę przysłali tu dzisiaj rano z Pawiaka. Słyszałam jej głos najwyraźniej, a nawet widziałam ją na własne oczy, jak wysiadała z bandą cyganek z wozu aresztanckiego. Łypie ślepiami, jak zawsze, a ledwie z wozu zeszła, tak zawaliła staremu ozorem, że już siedzi w ciemni, a porządkowa, która była przy tem, jak stary z nią gadał, mówi, że na cały tydzień... Strasznie podobno dokazywała tam na Pawiaku, aż rady sobie z nią dać nie mogli. I tamten stary napisał do naszego radcy, żeby ją tu dobrze trzymał, bo mu całe więzienie może wywrócić do góry nogami...

Naraz wśród aresztantek zapanowało milczenie. Na podwórzu ukazał się „Radca", naczelnik więzienia, nizki, pękaty starzec, o długich,

---

[1]) Nie kłam.

rzadkich, siwych faworytach, okrągłych, piwnych, na wierzch wysadzonych i krwią nabiegłych oczach. Czerwony, z twarzą w kształcie zera, miał minę człowieka, wielce z siebie zadowolonego.

Dysząc ciężko, rozespany, szedł miarowym krokiem i patrzył dokoła, badając, czy regulamin spaceru zachowany w zupełności, czy wszystkie aresztantki zeszły na dół i czy, zamiast chodzić, nie przycupnęła gdzie na ławce która.

Śledztwo wypadło pomyślnie. Kobiety spacerowały w koło parami, jak należało. Dwie tylko siedziały, grzejąc się w resztkach promieni zachodzącego słońca. Skuloną pod gałęźmi zapylonego orzecha, o budkę strażnika opartą żydówkę, Goldflancową, zamknięto w więzieniu za współudział w podstępnem bankructwie męża, któremu udało się uciec. Kaszel podrywał jej piersi: nie mogła mówić; w krtani grała cała orkiestra. Nędzna, chora, w ostatnim stopniu suchot na próg śmierci dowleczona, patrząc przed siebie błędnemi oczami, myślała, jak rozkosznie było jej przed dwoma laty o tej porze: oddychała powietrzem Alp, pieściła wzrok krajobrazami gór, jezior, dolin, miała około siebie trzy córki ukochane, takie ładne, takie delikatne, białe, jak mleko, ubrane w koronki, tiule, aksamity; miała wnuków. Jeden śmiał się ciągle i wołał już: „babciu!" Wyciągał do niej ręce po karmelki; które miała zawsze dla niego w kieszeni. Taki

był delikatny, różowy, jak brzoskwinia, może trochę podobny do Gieniusi, no, ale to było inne, pańskie, śliczne dziecko. Dostawał już ząbków; wszyscy oglądali się za nim. Ubierano go w niebieskie sukienki z koronkami i wstawkami. Ach, jak to było dobrze! I kto mógł przypuszczać, że pod koniec życia wpadnie się w takie piekło, w taką otchłań, taka jaskinię podłości, brudu i zepsucia!...

Czepek aresztancki palił osiwiałe w ciągu dni kilku jej włosy. Fartuch, kaftan, szara suknia, gruba, jak z powrozów utkana koszula i krzyżówka na szyi, o, jakżeż ciążyło to wszystko!...

Chodziła w atłasach, jedwabiach, koronkach i aksamitach, a teraz... proste szare więzienne sukno!...

I to wszystko dlaczego?...

Przez niesprawiedliwość sędziów i nieuczciwość adwokatów!

Przecież ani jej mąż, ani dzieci, ani te śliczne, jak aniołki, wnuki, ani ona sama, nic nie byli winni: chcieli zrobić dobry interes, jak wielu kupców, których nikt nie prześladuje za to.

Mąż uciekł, bo nie mógł zostać: ścigali go podli wierzyciele, których zawiódł nie on pierwszy. Dobrze zrobił, że uciekł: inaczej—musiałby siedzieć w więzieniu, jak ona, jak syn jej najstarszy, taki mądry, że rabin nie mógł być od niego mądrzejszy!...

Chrapliwy, bezmyślny szwargot aresztantek

napełniał ją wstrętem. W głowie mąciło się od tego hałasu; huczał w uszach i w skroniach, jak gdyby tysiące młotów waliły w nie.

Byłaby uciekła stąd na górę do siebie, do pustej, latem gorącej, jak piekło, zimą chłodnej, wszystkiemi porami okien, drzwi i ścian wiejącej celi lazaretu, pani doktór jednak kazała jej siedzieć jak najwięcej na powietrzu: to ją miało uzdrowić; za dwa lata mogła wrócić do swoich; jakżeż pragnęła doczekać taj chwili!...

Trzęsła się z zimna; kaszel coraz gwałtowniej podrywał piersi, nie wstawała wszakże: rozchylonemi, zwiędłemi usty wciągała duszne, wilgotne, smrodliwe powietrze, sądząc, iż ukoi rany płuc zbolałych.

Chciała żyć, chciała być zdrową, aby za dwa lata wrócić do córek i wnucząt!...

Z pewnością przeżyje tę chudą, wysoką suchotnicę, która razem z nią, tylko zawsze dalej od niej siaduje na podwórzu!

Nie rozmawiały ze sobą nigdy, jakkolwiek mieszkały w sąsiednich celach lazaretu.

Kawecka, stara, znana w całem mieście złodziejka, po raz dwudziesty już osadzona w więzieniu, była dla niej wstrętna. Głos wychodził z rzężącej krtani, jak z rozbitego garnka. Czoło miała zawsze przewiązane chustką, z pod której wystawał nos długi nieskończenie, cienki i płaski. Pochylona niby pilnie nad robotą, strzelała małemi, szaremi oczkami ukośnie, jak gdyby chcąc

być na ciągłej baczności tego, co się działo dokoła. Chwilami stawała, jak żóraw, na jednej nodze, z wyciągniętą w bok szyją i węszyła coś pilnie...

Koleżanki nazywały ją „cholerą", dozorczynie okrążały zawsze zdaleka, niepewne zegarków, dewizek, pierścionków, a nawet chustek w kieszeniach.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Zasiadłszy w drewnianym fotelu, na środku podwórza, radca wodził wzrokiem po spacerujących dokoła aresztantkach. Najśmielsza z nich, wesoła farsiarka, Zdrojowska, przesunęła się koło niego tak, że końcem pantofla odchyliła połę munduru jego. „Stary" nie spostrzegł tego, natomiast towarzyszki Zdrojowskiej zaśmiały się w kułak i z tryumfem zaczęły pokazywać ją sobie oczami.

Jezuskowata Bocheńska, bardzo pokorna i uniniżona, wysunęła się z ostatniego rzędu. Stanąwszy przed naczelnikiem. całując go w rękę, zaczęła coś mówić półgłosem. Głowę miała pochyloną i patrzyła w bok, nie mogąc znieść śmiałego spojrzenia prosto w oczy. Cicha, potulna, przez ciąg trzyletniej pokuty więziennej za kradzież i oszustwo nie zasłużyła ani razu na naganę. Stawiano ją za wzór łagodności i dobrego obejścia. Rodzinę miała porządną; synowie przy-

chodzili do niej co niedzielę w tużurkach, córki w kapeluszach, za woalkami; dostawała najobfitsze „wałówki“, nosiła najozdobniejsze czepki i zawsze czyste fartuchy.

Z tem wszystkiem towarzyszki nie lubiły jej: podlizywała się staremu, dozorczyniom, strażnikom, a nawet porządkowym pierwszego, drugiego i trzeciego oddziału. Najpierwsza wiedziała o wszystkiem, co zaszło w więzieniu. Często bardzo łapano ją przy drzwiach pralni, prasowalni, lub warsztatów gilz i knotków olejnych na podsłuchiwaniu. Nie było targu wymiennego między aresztantkami, któryby uszedł jej uwadze, nie było sprzeczki, na którąby nie wpadła, niby niechcący, nic o niej nie wiedząc, cicha, pokorna, jak zawsze, wślizgująca się kocim ruchem Faryzeuszki, węszącej wszędzie własną korzyść. Od starego dostawała pensję miesięczną za „kapy“ [1]); towarzyszki opychały kieszenie jej tytoniem i gilzami, aby tylko nie donosiła o „duleniu“ [2]).

Wyśmiewano się z niej, że „blatuje [3]) starego na grande“, nikt jednak nie miał odwagi rozpocząć z nią walki z obawy, aby nie „skapowała“ tej lub owej.

---

[1]) Doniesienia.
[2]) Palenie.
[3]) Stara sobie zjednać łaski.

Za tydzień miała wyjść z więzienia. Stojąc przed radcą ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, prosiła, by pozwolił jej zajrzeć nadetatowo jutro lub pojutrze do rzeczy, przyniesionych ze swobody, chciała bowiem naprawić bieliznę, którą miała wziąć na siebie.

Radca skinął głową przyzwalająco.

— Idź w środę do gospodarza, to ci to załatwi — odrzekł, ziewając.

Wyjąwszy zegarek z kieszeni, spojrzał na godzinę i dał znak strażnikowi, by zadzwonił na koniec spaceru.

W powietrzu rozległo się trzykrotne uderzenie dzwonka.

Pary pomięszały się. Ostatnie wyruszyły naprzód, niknąc w czarnych, wilgotnych sieniach więzienia; pierwsze otoczyły studnię, chcąc przed odejściem jeszcze napić się wody. Potężne wołanie radcy: „Wracać!“ przyprowadziło wszystkie do równowagi.

Potemska odeszła od studni i postąpiła ku sieni; za nią podążyły wzdłuż ponurych, wiatrem nawskroś przewianych korytarzy i inne. Z podwórza, przez otwarte okna klatek schodowych, widać było połyskujące grupami białe ich czepki. Stuk obcasów rozlegał się echem, gwar prowadzonych rozmów dolatywał głuchym szmerem, w którym nie można było rozróżnić pojedyńczych słów i głosów. Po chwili wszystko umilkło. Ba-

czne ucho chwytało jedynie zgrzyt kluczy, przekręcanych w zamkach przy zamykaniu cel i korytarzy; nareszcie i to ucichło. Przy kratach okien pojawiły się chude, zielonkawo-sine twarze, wyglądając bezmyślnie na to samo wąskie, cuchnące, wysokim czarnym parkanem ogrodzone podwórze, z którego wróciły przed chwilą.

Nastawała pora nudów świątecznych. Do rewizji wieczornej jeszcze było daleko; czas dłużył się; nie wiedziano jak go urozmaicić. Na karty było za ciemno. Opowiadać dobrze różne historje umiały tylko Zdrojowska i Palińska pod dwudziestym trzecim numerem: tam też bawiono się zawsze najlepiej. Śpiewać radca nie pozwalał. Przychodziło zwykle w końcu do sprzeczki i bójek między aresztantkami. Jedna chwaliła się, że najlepszą ma rodzinę i największe uznanie u ludzi; inne wołały:

— Nie wal jury! Nie mów na lewo [1]. Takaś sama doliniarka, jak i my. Każ się wypacykować, jeśliś co lepszego.

Powstawał krzyk nie do opisania. Kończyło się wejściem dozorczyni, radcy, sekretarza lub gospodarza i uprowadzeniem do ciemni tej, która hałasowała najwięcej.

Każde święto zapełniało doszczętnie niskie, ciemne, małe pokoiki bez okien, o gładkiej, as-

---

[1]) Nie obełguj.

faltowej posadzce, na której nie leżał nawet tapczan. Winowajczynie, stosownie do stopnia niesforności, odsiadywały tam noc jedną, dobę, dwie, lub trzy doby, a częstokroć i tydzień cały o chlebie i wodzie, klęcząc niekiedy po parę godzin lub leżąc z przywiązanymi w tyle, do rąk, stopami. Wychodziły stamtąd jeszcze niesforniejsze, bardziej rozjuszone. Potokowi klątw i złorzeczeń, miotanych przez zaciśnięte zęby, nie było końca. Rzucały się, jak wściekłe tygrysice, gotowe wydrapać oczy każdemu, co stawał wówczas na ich drodze. Wiązano je najczęściej napowrót i wypuszczano wtedy dopiero, gdy głód, bezsenność i ból spętanego ciała zmogły bunt wewnętrzny. Osłabione, chude, wyczerpane, bardziej sine, ziemiste, niż przedtem, czaiły się do cel swoich, nakształt poskromionych tylko chwilowo hyen lub panter, którym dość ujrzeć pogromcę zdaleka, by z nową wściekłością rzucić się na niego.

Dziś — jeszcze było spokojnie w celach. Dojadano resztki otrzymanych na obiad „sztuczek“ [1]), chowano lub rozpoczynano „wałówki“. Nikt, nawet najhałaśliwsza ze wszystkich Potemska, nie rozpoczynała sprzeczki.

Na podwórzu też panowała cisza zupełna. Radca tylko chodził od kasztana do orzecha, od

¹) Kawałki mięsa lub wymion krowich, osadzone na drewnianych patyczkach.

orzecha do jabłonki, zasadzonej ostatniego roku i szarej od pyłu z placów i ulic sąsiednich. Co chwila przystawał. Dziwny jakiś szmer zwracał jego uwagę. Oglądał się, nadsłuchiwał, nadsłuchiwał, oglądał; zawołał wreszcie na strażnika dyżurnego, kazał mu obejść wszystkie cele dla sprawdzenia, czy gdzie która aresztantka nie wypiłowywa krat nożem.

Strażnik wrócił z raportem, iż wszystko w porządku i nigdzie nie może być noża, wczoraj bowiem była robiona rewizja. Szmer, podobny do chrobotania myszy, przegryzającej belkę drzewną, rozległ się na nowo. Radca zajrzał do kuchni, do składów przy kancelarji, do apteki, do lazaretu: wszędzie panował spokój i cisza zupełna.

Ruszając ramionami, ściągając kraczeste brwi siwe, wszedł do siebie na górę i kazał podać sobie obiad.

Przy obgryzaniu combra zająca myślał o wypadkach całej doby.

W nocy zwieziono mu pięć politycznych i kazano przygotować miejsce na drugą partję.

Znowu może jakaś głupia szewcka manifestacja, pochód na Szeroki Dunaj, jak pół roku temu...

Babom i studentom chimery we łbach, a człowiek nawet nocy nie ma spokojnej...

Żeby chociaż same młode!... Ale parę pewnie po 30, 40 lat...

Tylko siec, siec do krwi, zatłuc na śmierć, żeby odechciało się głupstw wreszcie!...

Jedna z dzieckiem przy piersi. Kwiczało to, że mało uszy nie pękły. Dopiero ucichło, jak wzięto matkę na śledztwo: tam grube mury; nie słychać...

Radca rzucił nóż i widelec. Z serwetką pod pod brodą przeszedł kilka razy przez pokój, żeby stłumić pasję.

Z temi politycznemi!...

Już wie, co będzie: a to robaki, a smród, a hałas, a złe jedzenie... Skargi, gdzie się da i kiedy się da. Bo to aby tylko bunt...

Wcale nie miejsce tutaj dla nich. Serbja... X-y pawilon... Tam już przywykłszy do *takich*... Ale on...

Jak wszystko zapchane gdzieindziej, przysyłają mu ten towar i dopiero od rana do wieczora telefon, posłańcy: to z jedzeniem, to z pościelą... Głowę stracić można!...

Śmiałe to... Przychodzi żandarmska albo gubernska wizyta. Zaraz donosy i żądania: światła, książek, spaceru porządnego, nie po śmierdzącem podwórzu...

Wszystko im śmierdzi: jakby całe życie tylko róże wąchały!...

Albo te śpiewy: jak im pozamykać gęby?...

Proste aresztantki bierze się za kark i do ciemni. A to damy... Nie przystępuj bez pokło-

nu... Sadzi się na dumę, a głupich awantur po ulicach nie wstyd...

Niczego się nie boi...

Te młode... Już on je zna: nie poskromisz tego...

Jak kiedyś zaczęła jedna zwodzić strażnika— przy nocnej rewizji, to trzy razy musiał obchodzić więzienie.

Wystroiła kukłę z gałganów, położyła na łóżku, przykryła kołdrą, że tylko czepek wystawał, a sama uklękła, niby pacierz mówi. Co przeliczy strażnik, to zamiast 13-u wypada 14 i ani rusz dojść, zkąd tak?...

Albo znowu schowa się pod łóżko i brak jednej. Albo postawi we drzwiach straszydło, że jak tylko strażnik ruszy klamką, to ono zaraz na niego i aż mu latarkę zgasi.

I aby tylko rolę odgrywać: zaraz do złodziejek, do prostytutek, niby jakie patronki. Dopiero czytania, dopiero przypowieści, nauki, jak w konfesjonale, a człowiek za to mało po uszach nie oberwie...

Żachnął się pan naczelnik i, wyszarpnąwszy serwetę z pod brody, cisnął ją na stół.

Dosyć ma obiadu: w gardle wszystko stoi. Lepiej przedrzemać się trochę, bo drugą noc już prawie na nogach...

Odszedł od stołu, ale spojrzenie padło na niedojedzony comber zająca, na apetyczne, pa-

chnące buraczki i na krem czekoladowy z bitą śmietanką.

Żal mu się zrobiło: usiadł napowrót.

Wziąwszy z półmiska nowy, najapetyczniejszy kawałek, myślał w dalszym ciągu o sprawach dnia całego.

Rano przywieziono mu Gajdę, znaną złodziejkę i awanturnicę, która trzykrotnie już zdołała uciec z różnych więzień.

Historję jej rok temu powtarzano w mieście głośno. Przebrana za kelnera, służyła przez lat kilka na jednym z dworców kolei żelaznej, poczem, poznana i ukarana za mistyfikację, przyoblekła napowrót szaty niewieście i „chlasnąwszy frajerowi w gabinecie gotiu paręset rubli", dostała się po raz szósty w swem życiu „do ula".

Kochanek jej w tym czasie za „chlaśnięcie" w sklepie zegarmistrza dwóch tysięcy rubli i stu złotych zegarków z wyłamaniem sztab żelaznych i rozbiciem kasy ogniotrwałej, skazany został na „posielenje". Pragnąc ją mieć przy sobie, napisał do niej do więzienia, aby popełniła coś takiego, za co musiałaby zostać zesłaną, a wówczas mogliby pojechać razem.

Wezwana przed sąd na sprawę, nie wiele myśląc, w chwili badania wyjęła z zanadrza czerstwy, jak kamień, bochenek chleba i, cisnąwszy go w twarz sędziemu, zawołała:

— Kradzież to nie grzech, to rzecz fizykal-

na; fizyka to odwaga, a za odwagę ludzi do sądów nie ciągają...

Związano jej ręce. Dwóch żołnierzy z warty odprowadziło ją pod gołemi pałaszami napowrót do więzienia, poczem miano jej wytoczyć sprawę o obelgę sądu. Nim przygotowano jednak nowy akt oskarżenia, któraś z usłużnych koleżanek „skierowała" [1]) jej list kochanka i oddała naczelnikowi więzienia; ten ze swej strony wręczył go sądowi: tym sposobem grożącą jej karę wieczystego osiedlenia zmieniono na sześć lat więzienia.

Pierwszy rok odsiedziała spokojnie; w drugim—uciekła z więzienia w nocy, przepiłowawszy kratę żelazną i spuściwszy się na dół na sznurze z pociętej sukni więziennej. Schwytano ją wszakże i osadzono napowrót. Teraz—w trzecim roku już—awanturowała się tak strasznie, że z głównego więzienia przysłano ją tutaj, sądząc, iż praca, którą zajmowano aresztantki, utemperuje burzliwe jej instynkty.

Na samym wstępie jednak rzuciła się do oczów strażnikom i groziła, że zerwie szlify naczelnikowi, jeżeli najbliższej niedzieli nie da jej widzenia z krewnymi.

Wsadzono ją do ciemni. Przez trzy godziny wyła, jak szakal, rzucała się, jak tygrys, pięścia-

---

[1]) Ukradła.

mi, kolanami, głową waliła we drzwi; mimo związania nie przestawała miotać się, jak wściekła.

Od paru godzin przycichła. Strażnik i dozorczynie, zajrzawszy do niej kilkakrotnie, meldowały naczelnikowi, że śpi na gołej ziemi w wodzie, którą wylała z rozbitego w złości dzbanka.

Naczelnik nie mógł myśleć o niej spokojnie. Czegoś bał się; coś złego przeczuwał.

Głodny zwykle, dziś stracił nawet apetyt. Obiad nie nęcił go zupełnie. Na usilne prośby żony dopiero usiadł przy stole, sam jeden, jak zwykle, nie lubił bowiem, żeby mu kto zaglądał w zęby.

Skończył już i wstał od stołu, zapomniawszy o leguminie, gdy cichutko, na palcach, wsunęła się naczelnikowa, podając mu kryształową salaterkę.

— Widzisz, nawet byłbyś nie sprobował... a specjalnie z Justysią przygotowałyśmy to dla ciebie...

Żachnął się.

— Do pioruna!... Niema nic ważniejszego dla was nad kremy i kisiele!...

Trzasnął drzwiami i wyszedł z mieszkania cichutko na palcach, jak zwykle wtedy, kiedy biegł „na szpring“ [1]), minął klatkę schodową i stanął przed drzwiami parterowej ciemni, graniczącej z jednej strony ze składem zapasów spożyw-

---

[1]) Podsłuchiwanie.

czych, z drugiej—z kancelarją więzienną. Przyczaiwszy się, nadsłuchiwał.

Gajda tymczasem klęczała, o mur oparta. Rozwiązano ją na rozkaz radcy już przed godziną. Miała minę zmęczoną; pomimo chłodu i wilgoci, pot strugami spływał jej z czoła. Niespokojne, szerokie, ruchliwe i błyskotliwe, jak u pantery, oczy biegały po celi, widząc w zmroku wszystko.

Oddychała przyśpieszonym oddechem, jak w gorączce. Lekarz z tamtego więzienia powiedział o niej, że jest suchotnicą w ostatniem stadjum choroby. Woskowo żółta cera, silne wypieki stwierdzały zdanie lekarza.

Lat miała około trzydziestu, włosy kręcone, płowe, wielkie, rzadkie żółte zęby, głowę o małym, twardo zakończonym, podbródku, mocno na krótkiej, rozdętej szyi osadzoną. Całą swą postacią, każdym ruchem ramion, oczów, twarzy zdradzała ciągły niepokój, ciągłe szamotanie się wewnętrzne.

Duszno jej było, ciasno i nie do wytrzymania w zamkniętycb murach więziennych. Rwała się na zewnątrz, do szerokiego świata, gdzie, jak leśny satyr, byłaby ludziom płatała figle.

Z rozkoszą myślała nieraz o popełnianych na swobodzie występkach: to był jej raj, to było życie. Ciągły ruch mógł tylko utrzymać ją przy zdrowych zmysłach. Tu, w tem zamknięciu, czuła, że oszaleje wkrótce.

Za czasów kelnerskich nie kradła, bo wtedy miała masę roboty. Życie wrzało, kipiało dokoła niej. Raz na dwa tygodnie tylko, w swoją wychodnię, mogła odpocząć, ale jej nie chciało się odpoczywać nigdy. Brała pod rękę kochankę, bo jakżeż, jako kelner, mogła jej nie mieć? Szła z nią przez miasto. Nikt po męskich jej ruchach nie byłby poznał, że jest kobietą. Stroiła narzeczoną swoją, jak lalkę, kupowała jej najdroższe koronki, suknie, palta, kapelusze. Z roku na rok tylko zwodziła ze ślubem.

Teraz, w tej ponurej, głuchej ciemni do czego podobne było jej życie?

Szarpnęła się niespokojnie, wstała, coś jakby w ręku trzymając, podeszła do drzwi, stanęła jednak.

Instynkt kazał jej przysiąść napowrót cicho i nadsłuchiwać, czy kto nie stoi przy drzwiach.

Jak pies, węszyła czyjąś bliską obecność. Doznawała tego samego niepokoju, jak nieraz przed nieudaną kradzieżą, kiedy w bramie lub na schodach wydzierano jej z rąk „skierowane" tobołki.

Nie pochwyciwszy szmeru najlżejszego, radca po kwadransie wolnym krokiem zawrócił ku drzwiom korytarza i przeszedł na drugą stronę podwórza, gdzie miał ulubiony swój warzywno-kwiatowo-owocowy ogródek.

Zmrok jesienny rzucił szarą oponę na szeregi równych, czysto opielonych zagonów. Z ra-

na i w południe wrzała tu praca. Kilkanaście rąk kopało jarzyny, sadziło zimowe flance, oczyszczało klomby, gracowało aleje. Teraz—jesienna cisza zawisła nad skroplonemi rosą liśćmi buraków, marchwi, kartofli, nad smętnemi, białawo-liliowemi główkami astrów, nad czerwonemi, do łodyg przytulonemi łebkami balsaminy, nad żółtawo-płowemi kielichami wonnych róż herbacianych.

Radca przechadzał się zwolna: to przysiadł w ustronnej, szarem płótnem obitej altanie, to znowu wstał, obejrzał klomby róż, astrów i gieorginij, zerwał gałązkę filoksery i, bawiąc się nią, nucił z cicha dziarskiego mazura, ostatnią kompozycję swoją na fortepian, ofiarowaną dorastającej córce.

Namiętnie lubił muzykę; wszystkie wolne chwile, spędzane poza więzieniem, ogródkiem, a czasami i spacerem na mieście lub klubem, poświęcał tworzeniu sentymentalnych walców, rytmicznych polek i siarczystych mazurów.

Podśpiewując, chodził od klombu do klombu. Zwykle do późnego wieczora przesiadywał w ogrodzie. Wracając do domu, wypijał kilka szklanek herbaty, przegrał parę walców, polek i mazurów i, zadowolony z dnia, spędzonego pomyślnie, kładł się do łóżka z uśmiechem.

Dziś—od rana czuł dziwny niepokój. Sam nie wiedział, co się z nim działo: czyżby starość?...

Pogładził długie białe faworyty, wyprosto-

wał się, jak żołnierz w czasie musztry i szybko zaczął biedz główną aleją ogródka ku domowi.

Stanął jednak. Pierwsze, żywsze niż zazwyczaj, kroki zmęczyły go. Coś zadławiło mu oddech w piersiach i rzuciło mgłę na oczy. Starość, której się lękał, o której nie rad był myśleć, zajrzała najwyraźniej pod powieki...

Wolno, ze zwieszoną na piersi głową, przerażony pierwszym widomym objawem chylących się ku upadkowi sił fizycznych, minął furtę i, zamknąwszy ją starannie, znalazł się znowu na podwórzu więziennem.

Tu po raz wtóry uwagę jego zwrócił ten charakterystyczny odgłos jakby skrobania, wypiłowywania nożem drzewa, słyszany już przed kilkoma godzinami. Lekko, na palcach, obszedł wszystkie korytarze więzienia. Wszędzie panował spokój zupełny. Gdzieniegdzie płakały tylko dzieci i słychać było krzyk matek:

— A cichoże, cicho, zatracony odmieńcze!

W wielkiej celi na górze jednak powstała w tej chwili wrzawa piekielna.

Wczoraj jeszcze, przy oddawaniu robót, rozkładając co dziesiąta uprasowane koszule, dozorczyni u jednej z nich spostrzegła obcięte rękawy.

— To ruda Józka odkrajała je na czepek dla siebie!—zawołała ochrypłym, przepitym głosem Antka Kucharska, na którą przedewszystkiem padło podejrzenie.

— Ty bydlę, kominiarko jedna, co sobie dla swego gacha na niedzielę chciałaś łeb czepkiem wybielić, będziesz ty na mnie spędzała? Czarny djable, kudłata suko! Poczekaj, odechce ci się na zawsze zaczynać ze mną!

I, pchnąwszy ją kułakiem w bok, powaliła na ziemię.

Czarna wstała i rzuciła się na Rudą z pazurami.

Powstał krzyk, hałas i zamięszanie nie do opisania.

Praczki i prasowaczki podzieliły się na dwa obozy, podnoszące taką wrzawę, że kilku strażników zaledwie zdołało ją uśmierzyć, odprowadziwszy przywódczynie bójki do ciemni.

Ruda i Czarna zamykane były w jednym numerze. Z nudów dziś przypomniały sobie wczorajszą hecę i zaczęły kłócić się, bić na nowo. Potok klątw i złorzeczeń rozgrzmiał na całe więzienie i byłby trwał do rana, gdyby nie tubalny głos radcy, który, zawoławszy z podwórza: „Do ciemni tę, co choć jedno słowo jeszcze piśnie!“ uspokoił wszystko.

Nastała wielka cisza. Ruda i Czarna odskoczyły od siebie, ziejąc jeszcze złością, ale nie mając już odwagi rozpoczynać kłótni na nowo.

W kwadrans potem więzienie spało na nowo. Grobowy spokój przerywały tylko od czasu do czasu kroki wartującego strażnika, płacz dzieci, kaszel suchotnic i ostre, przeraźliwe krzyki

umieszczonej tu chwilowo warjatki. Nikt ich jednak nie słyszał. Sen spłynął na skrzydłach nocy. Strażnik Sroka, zmożony chłodem i drobnym jesiennym deszczem, którym rozsypała się ciężka ołowiana, leniwie od zachodu pełznąca chmura, zasnął, stojąc, w niskiej, czarnej swej budce.

Około trzeciej zbudziła go zmora. Śniło mu się, że wielka jakaś czarna postać, której rysów nie mógł rozpoznać, niknęły bowiem w mgle ciemnej, schwyciła go za kark i powaliła o ziemię, a potem gniotła kolanami piersi i dławiła szyję.

Nie mógł oddychać. Sapiąc, zaczął szamotać się, aż, stuknąwszy ramieniem o twardą ścianę budki, otworzył oczy.

Wtedy nagle uderzył go dziwny widok: podwórze pełne było dymu, wgryzającego się w oczy, uszy, usta. Kłębił się, jak nad zamkniętym stosem smolnego paliwa. Trudno było poznać źródło jego i kierunek: szarą oponą zawisł w powietrzu, kotłując się coraz silniej.

Nagle wiatr zachodni szarpnął ciemną, duszącą zasłonę i rozerwał ją na połowę. Przez chwilową szczelinę powietrzną dostrzedz było można ruchliwą, jak wiewiórka, postać kobiecą, przemykającą się pod murem, koło okien spiżarni i ginącą w ciemnej sieni, której schody prowadziły ku korytarzom i celom więziennym. Jednocześnie w oknach spiżarni błysnął słup ognia;

szyby zatrzeszczały i z brzękiem powypadały na twardą asfaltową posadzkę podwórza.

Trzy wystrzały rewolweru, jeden po drugim, i dzwonek na alarm rozbrzmiały w powietrzu.

Sroka, rozcmuchany już zupełnie, pojąwszy całą grozę położenia, budził tym sposobem ze snu więzienie.

Wkrótce zawrzało. W zamkniętych celach podniosły się krzyki. Szarpano kraty, chcąc je wyłamać. Na oknach, bijąc się i szamocąc o miejsce, stawały wychudłe, nędzne postacie kobiet. Pół nagie, w zarzuconych ledwie na kościste żółte ramiona zgrzebnych koszulach, w spadających z głów czepkach, bose, wściekłe z rozpaczy i strachu, ziały jadem klątw, bluźnierstw i złorzeczeń.

— Otwierać cele! — zabrzmiał piorunujący głos naczelnika, który, zarzuciwszy na siebie zimowy kożuszek, stał już na podwórzu i, rozgarniając dym rękami, patrzył w okna śpiżarni, łuną płomieni oświetlone.

Aresztantki tymczasem wyły i przeklinały.

— Ratunku! Giniemy! Żeby nie doczekali i godziny nawet, żeby pozdychali, jak ropuchy w ogniu ci, co nas tu zamknęli!... wrzeszczał wściekły tłum kobiet z trzech pięter.

— Wybijać szyby!—ryknęła nagle Potemska.

I wnet z łoskotem, trzaskiem, brzękiem posypały się na ziemię masy szkła, potłuczonego na miazgę. Leciały na dół całe okna ze stoją-

cemi na parapetach doniczkami kwiatów. Wyrzucano, co która z uwięzionych miała w celi, bądź ukrytego, bądź dozwolonego: lusterka, grzebienie, pantofle, butelki, chleb, tytoń, bułki... A wszystkiemu towarzyszyła wrzawa i hałas piekielny.

Szulcowa, cicha, spokojna, jak zawsze, ubrała się od stóp do głowy, zmieniła nawet fartuch i czepek wczorajszy na czyste i czekała w milczeniu, co będzie. Potemska zakomenderowała wyłamywanie futryn u okien. Zdrojowska wystroiła się, jak do ślubu, w białą barchanową suknię i, podśpiewując kuplety z operetek, wykręcała piruety na pięcie. Warjatka krzyczała, nie pojmując, co dzieje się dokoła niej.

Goldflancowa, kaszląc, stanęła w oknie. Nie miała siły wołać: „ratunku!“ jak inne; krzyk uwiązł jej w krtani. Kiwając smętnie głową, zawodziła skargi, a głos jej był nizki, głęboki, pełen bólu:

— Już koniec mój nadszedł! Nie doczekam jutra... I zostaną tu kości moje, w tem piekle, w tym brudzie! Srogo nas karzesz, Jehowo! Więcej, niż za winy nasze!

Dembińska z oczyma ekstatycznie w górę wzniesionemi, przysłuchiwała się dzikiej wrzawie.

To tłum ludzi z miasta obległ więzienie, by ją stąd wybawić: wiedziała o tem, spodziewała się tego już oddawna, nie chciała jednak swobody.

Duch jej uleciał w przestworza, a ciało

musiało umrzeć tu w mroku więziennym: inaczej nie odpokutowałoby błędów wolnej już duszy, którą wówczas czekał drugi żywot hańby i upadku.

Mańka siedziała na tapczanie w kącie obojętnie. Tęskniła za swobodą, a teraz... wszystko jej było jedno: żyć czy umierać. Takie życie!...

Matka tylko!...

Na wspomnienie jej zaszlochała. Coś zadławiło ją w piersiach, w krtani. Otarła łzy fartuchem i w dalszym ciągu, bezwładna, nieruchoma, wcisnęła się w kąt pokoju, nie rozumiejąc zgiełku, hałasu i wrzawy dokoła siebie.

Takie życie!...

Zaczęto otwierać cele.

Pierwsza, walcząc z dymem, który zapełnił już sienie, korytarze i przez szpary drzwi, przez wybite okna wciskał się do wnętrza cel, wyszła na podwórze Potemska, wpadając prosto do bramy i usiłując wydrzeć klucze strażnikowi.

Za nią, milcząca, ale ruchliwa, spokojna, jak gdyby nic nie zaszło, potoczyła się Szulcowa z węzełkiem wszystkich swych ruchomości w ręku. Później, śpiewając kuplety z operetek dławionym co chwila przez dym głosem, wybiegła Zdrojowska. Ucieszona tem urozmaiceniem pobytu więziennego, wykręciła na środku podwórza piruet, wołając:

— Sto lat zdrowia temu, co podpalił: to ci frajda!...

Mańkę wyciągnięto gwałtem: nie chciała schodzić. Obojętna, bierna, odpowiadała:

— Dobrze mi tu...

I opierała się mnóstwu rąk, dopóki nie wrzasnął na nią strażnik: — Dalej na dół... tylko bez hec...

Chrzęst obracanych w zamkach kluczy i odsuwanie rygli głuszyła wrzawa rozweselonych na podwórzu głosów.

Aresztantki z dwóch pięter były już na dole, trzecie tylko jeszcze, zamknięte, podnosiło gwałt i hałas nie do opisania.

— Dozorczyni trzeciego oddziału natychmiast otwierać cele!—rozbrzmiał, niby orkan, potężny głos radcy.

W tej chwili na facjatce trzeciego piętra, w odblasku łuny pożarnej, ukazała się postać młodej kobiety z dwojgiem dzieci na rękach.

Podszedłszy do okna, rzuciła na dół klucze. Chciała powiedzieć: „Muszę przedewszystkiem ratować dzieci swoje!"—Ale kłęb dymu zatamował jej oddech.

Zatoczyła się wraz z dwojgiem odurzonych, nieprzytomnych maleństw, tracąc przytomność.

Gdy po chwili otworzyła oczy, w które wżerał się dym i swąd pożogi, usłyszała ten sam dobrze sobie znany, piorunujący głos naczelnika:

— Ratować więźniów z trzeciego piętra.

Wszystko jej było jedno. Zdawało się jej,

że słowa te powtarza jakieś echo dalekie, którego może nie słuchać, skoro zechce.

Jedną ręką trzymając dwoje bliźniąt, które czepiły się jej szyi kurczowo, drugą szukała omackiem poręczy.

Z nadludzkim wysiłkiem, w falach coraz silniejszego dymu, dotarła wreszcie do sieni pierwszego piętra.

Tu padła, zemdlona. Nie czuła, jak w kwadrans potem paręset stóp, pędzących z hałasem, stoczyły ją w dół, gdzie fala rzeźwiejszego powietrza ocuciła ją.

Dzieci nie było przy niej. Ktoś porwał je. Otworzywszy oczy, zaczęła ich szukać obok siebie; nie znajdując, jęczała głucho, gdy nagle w blasku świtającego ranka i nieugaszonej jeszcze pożogi, ujrzała zdaleka pod ścianą, dwa drobne, zwinięte w kłębek ciałka.

Schwyciła je, wybiegła z niemi na podwórze, zaczęła skrapiać wargi i oczy wodą studzienną.

Powoli rozchylały się małe, sine usteczka. Wolno, bardzo wolno podnosiły się nad oczami powieki i wracało tętno skroni.

Żyły!...

Jak szalona, biegała z niemi, podnosząc w górę to jedno, to drugie, całując je, pieszcząc, tuląc do siebie.

Mańka podeszła do niej w milczeniu, na palcach. Zdjąwszy z siebie szary, kortowy kaftan więzienny, okryła nim dwa skostniałe od zimna

ciałka, pocałowała odrętwiałe główki i, milcząc, usunęła się w głąb podwórza.

Dzieciobójczyni!...

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Straż nadbiegła. Puszczono w ruch sikawki. Strażacy odrąbywali tlejące na drugiem piętrze belki, rzucali z góry na dół drewniane sprzęty. Wśród kłębów dymu, w odblaskach łuny połyskiwały mosiężne ich kaski. Na tle świtającego ranka rysowały się sylwetki smagłych, giętkich postaci.

Na podwórzu już od godziny rachowano więźniów.

— Brak jednej!—zawołał naczelnik do sekretarza i trzech stojących przy nim strażników.

— Gajdy nie ma! — ryknęło na raz kilka chrapliwych, bezdźwięcznych głosów.

— Otworzyć ciemnię na dole!—rozległ się ponad wszystkiemi arbitralny rozkaz radcy.

Strażnik wraz z sekretarzem przebili się przez tłum kobiet i podążyli do sieni, pełnej dymu, a stamtąd do kancelarji, gdzie przed chwilą zaledwie zdołano stłumić bijące w górę słupy ognia.

Woda zalewała podłogę. Brnęło się w niej po kostki, wdychając przykry, palący i szczypiący swąd zwęglonych papierów i drzewa.

Na lewo, około spalonych doszczętnie składów mąki, kaszy, chleba i słoniny, prowadził po-

nury, wąski korytarzyk do ciemni, w której zamknięta od wczoraj, żywa, czy zduszona dymem, a może spalona na węgiel tkwić musiała Gajda.

Jakież było zdumienie, gdy ujrzano kąt, nietknięty prawie pożarem, drzwi, lekko zaledwie, i to po wierzchu, zwęglone, zresztą nadwerężone o tyle, że czyjaś ręka w sposób niepojęty wypiłowała w nich otwór na pół łokcia długości i pół szerokości, przez który majaczyła głucha, mroczna próżnia karnej celi.

Sekretarz zajrzał w głąb.

Gajdy nie było.

Miękkiem, ślimaczem swem ciałem musiała wymknąć się przez wypiłowaną szczelinę.

— Gajda uciekła! — Z ust do ust poszła nowina.

Zatrzęsło się podwórze dzikim, zwycięzkim chichotem.

— Uciekła, frajerka!

Teraz starego do ciemni!...

W tej chwili na parkanie, nad budką strażnika coś mignęło; błysnęła para bystrych, szarych, sowich oczów; dwoje giętkich, muskularnych ramion, zawisłszy, niby dwa węże, na poręczy wysokiego, drewnianego przepierzenia, trzymały się go przez chwilę, poczem nagle, z drugiej strony parkanu, dał się słyszeć jakiś odgłos, jakby skok ludzkiego ciała na ziemię, któremu towarzyszył lekki okrzyk. Baczne, bardzo wrażli-

we ucho mogłoby pochwycić jeszcze szelest bosych stóp po ziemi, poczem — wszystko umilkło.

— Gajda!... Gonić ją! — zawołał radca, spojrzawszy nagle na parkan.

Trzej odkomenderowani strażnicy rozbiegli się w trzy różne strony.

— — — — — — — — — — —

Słońce wyjrzało perłowym zimnym blaskiem...

Gaszono już ostatnie iskry pożaru.

Dotkniętą została przeważnie dolna część gmachu więziennego.

Pożar wszczął się w jednej z szaf pierwszego pokoju kancelarji. Spłonęły doszczętnie wszystkie papiery, księgi i akta aresztantek. Podpalono je, podłożywszy pod nie stos zapałek, wydobytych z sąsiedniej szafy, której drzwi podważono ostrym, kuchennym nożem, rzuconym tuż obok na ziemię.

Nie ulegało wątpliwości, że winną podpalenia była tylko Gajda.

Jakim sposobem przy ścisłej rewizji zdołała ukryć nóż, którym przed podpaleniem wypiłowała drzwi ciemni, najdrobiazgowsze śledztwo nie zdołało wykryć.

Wysłana pod wodzą sekretarza i pisarza druga partja strażników, a wreszcie puszczona w pogoń policja nie mogła natrafić na ślad zbiegłej.

Przejrzano wszystkie nory podziemne, kryjówki prostytutek i złodziei, rozesłano listy gończe

po wszystkich cyrkułach w mieście i powiatach: napróżno.

Rozwiała się, jak tuman mgły w powietrzu; zniknęła bez wieści...

Dzięki niezwykłej energii radcy, doprowadzono do porządku kancelarję w trzy dni a gmach cały w tydzień po pożarze.

Władze wyższe, zwiedzając dotknięte katastrofą więzienie, zastały już wszystko po dawnemu.

Naczelnik, dwie dozorczynie i pięciu strażników otrzymali nagrodę i odznaczenia za przytomność umysłu.

Sroka za to, że, wartując, zaspał i oznajmił pożar dopiero w chwili najgwałtowniejszego wybuchu, został wyrzucony ze służby.

Ten sam los spotkał dozorczynię trzeciego oddziału, która, zamiast otwierać cele aresztantek, ratowała własne dzieci.

SPIS RZECZY: